JULIE ANNE
LONG
Tom 2
Wydarzenie pewnej nocy
AMBER
Romans historyczny

Julie Anne Long

Tom 2

Wydarzenie pewnej nocy

Przekład
Aleksandra Januszewska

AMBER

Korekta
Hanna Lachowska
Jolanta Kucharska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcia na okładce
© Zbigniew Foniok

Tytuł oryginału
It Happened One Midnight

Copyright © 2013 by Julie Anne Long
All rights reserved.

For the Polish edition
Copyright © 2015 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-5492-0

Warszawa 2015. Wydanie I
Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-952 Warszawa, ul. Wiertnicza 63
tel. 620 40 13, 620 81 62

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA
juras@evbox.pl

1

*K*laus majstrował przy prasie, kiedy rozległ się dzwonek przy drzwiach. Podniósł leniwie wzrok.

A potem zerwał się na równe nogi.

W drzwiach stał anioł.

Klaus wytrzeszczył oczy, przepełniony zachwytem nad angielską pięknością o różanej cerze, złotych włosach, niebieskich oczach i kremowej cerze.

Trudy, jakie przyniosły mu pierwsze miesiące pobytu w Anglii, nagle wydały się warte swojej ceny. Jonathan Redmond był z pewnością geniuszem.

Skłonił się nisko, elegancko i z szacunkiem.

– Witam panią w moim skromnym zakładzie. Byłbym zachwycony, mogąc okazać się pomocny.

– Jestem lady Grace Worthington, panie Liebman i… otrzymałam… wiadomość…

W istocie otrzymała wiadomość na papierze z nadrukiem *Klaus Liebman & Co*.

Liczni dżentelmeni podali nam Pani imię, utrzymując, że reprezentuje Pani wszystko, czym powinien się odznaczać Diament Czystej Wody. Bylibyśmy zaszczyceni, gdyby zechciała Pani przyjąć nasze zaproszenie, by pozować do specjalnego wydania talii kart oddających hołd najpiękniejszym młodym damom Londynu. Spotkanie zostało wyznaczone na godzinę drugą w przyszłą środę, gdyby zechciała Pani przychylić się do naszej prośby i zostać w ten sposób uwieczniona.

Zatrzymała się i spłonęła rumieńcem, bawiąc się nerwowo torebką.

Ale pomimo rumieńca pierwsza z przybyłych musiała być osobą śmiałą. Zjawiła się, jak się wydawało, bez towarzystwa i wciąż oglądała się przez ramię.

– Och, lady Grace. Proszę nic więcej nie mówić. Dla każdego mężczyzny obdarzonego zdolnością widzenia jest oczywiste, dlaczego pani tu jest. Zaszczyca pani Klaus Liebman & Co., przyjmując nasze skromne zaproszenie. Naszemu zdolnemu portrecistie nie zajmie wiele czasu, żeby uchwycić czystość pani urody, jeśli pani tego pragnie. Szkic wystarczy w zupełności. Proszę usiąść przy oknie, o

tam, żeby światło ukazało cały blask cery, a pan Wyndham wkrótce do pani dołączy. Czy ma pani ochotę na filiżankę herbaty?

– Z przyjemnością, dziękuję.

Lady Grace Worthington usiadła w fotelu przy oknie, składając skromnie ręce, a Klaus udał się na zaplecze, gdzie unosząc kilkakrotnie brwi i wskazując brodą, obwieścił panu Wyndhamowi, który zgodził się pracować za procent od zysków, jej przybycie.

Wyndham zajrzał ukradkiem do pokoju, spojrzał ponownie na Klausa, układając usta do gwizdu, a Klaus tylko się uśmiechnął.

Po pół godzinie obok pracowni przechodziła panna Marianne Linley w towarzystwie brata, pana Harry'ego Linleya.

Lord Argosy zaprosił oboje do herbaciarni obok dokładnie o tej porze.

Brat lady Marianne Linley zatrzymał się raptownie na widok zjawiska w postaci lady Grace Worthington podnoszącej się z fotela, żeby obejrzeć coś, co okazało się szkicem w ręku mężczyzny o oczach hultaja, włosach lisa i koszuli malarza – poplamionej obficie farbą.

– Och, to musi być malarz, o którym wspominał Argosy! Talia Diamentów Czystej Wody.

Marianne, mała brunetka o bystrych ciemnych oczach, ożywiła się natychmiast. Uważała, że to do niej właśnie pasuje to określenie. I nie bez powodu, bo wiele mężczyzn obsypało ją w tym sezonie komplementami.

– Co dokładnie masz na myśli? Talia Diamentów Czystej Wody?

– Liebman będzie drukował karty z portretami najpiękniejszych dziewcząt z towarzystwa, no, wiesz, powiedzmy z lady Gra… tobą, jako królową pik.

Zmrużyła oczy.

Najpiękniejsze dziewczęta!

– Dlaczego lady Grace Worthington siedzi w tamtym fotelu?

– Nie wiem. Może ją zaproszono? Jonathan Redmond ma podobno wylosować narzeczoną z talii kart przed końcem roku. – Zaśmiał się i potrząsnął głową. – Redmond.

Marianne sapnęła.

– Czy on naprawdę zamierza to zrobić?

Marianne wyobrażała sobie, że zakochała się w Jonathanie Redmondzie i cierpiała ogromnie, kiedy okazało się, że on nie podziela jej uczuć. W gruncie rzeczy kochała się w pojęciu Jonathana Redmonda, ponieważ wydawał się nieosiągalny, a wszystkie kobiety go pragnęły. Niezaspokojone życzenie i współzawodnictwo sprawiały, że cierpiała, a skoro tak, to musiała być zakochana?

Brat, który nie miał o tym wszystkim pojęcia, wzruszył ramionami.

– Kto wie? Ale ma diabelskie szczęście w pięć kart, więc dlaczego nie miałoby mu się poszczęścić i w tej grze, jakakolwiek by była – dokąd idziesz? Za parę minut spotykamy się z Argosym.

Marianne otworzyła drzwi do pracowni Liebmana.

– Zabierz mnie stąd później, Harry. Zamierzam dać się sportretować.

Lady Grace Worthington i Marianne Linley starannie unikały swojego wzroku, mijając się w drzwiach, jedna wchodząc, a druga wychodząc.

To nie tak, że jej unika, myślał Jonathan.

Tylko, że zaproszenia do Redmondów napływały wciąż lawinowo; przyjmował je z ulgą i cieszył się, przynajmniej na razie, znajomymi rozrywkami, mając pewność, że nikt go nie zastrzeli, nie aresztuje, nie każe skakać do rzeki i że będzie prowadzić konwersacje tak przewidywalne, że mógłby je toczyć zupełnie samodzielnie, nawet bez udziału zmieniających się, jasnowłosych piękności. Naprawdę nie miał w tym tygodniu czasu, żeby odwiedzić Salon.

A noce to już całkiem inna historia.

– *Mein freund!* Wyglądasz, jakbyś nie spał od tygodnia! – wykrzyknął Klaus, pochylając się nad książkami.

W istocie, nie mylił się.

Spędzał samotnie noce w łóżku – właśnie tak, samotnie – i cóż, kiedy tylko zamykał oczy, jedyne, co widział, to twarz Tommy po pocałunku: delikatną, oszołomioną, wrażliwą. Czuł, jak jej ciało, zwinne jak płomień, wygina się pod jego dotykiem, czuł jej usta i dłonie sunące po jego ciele.

Och, jej usta. Cud jej warg.

Całując ją, miał wrażenie, że poznaje ją coraz lepiej: z każdą chwilą odsłaniało się coś nowego. Nigdy by nie pomyślał, że zwykły pocałunek może podziałać jak cios w głowę. W cudowny sposób.

Widział gwiazdy.

Nigdy wcześniej nie doznał czegoś podobnego. Jakby dotknąć suchej trawy pochodnią. Żądza tak spalająca i prymitywna wstrząsnęła nim fizycznie i spowodowała, że powstrzymał się, ponieważ, wbrew temu, co można by o nim pomyśleć, Jonathan Redmond posiadał poczucie rozsądku. A wiedział, jak nad sobą panować. A mógł ją posiąść tam, na brzegu, szybko i brutalnie. Świetnie potrafił to sobie wyobrazić.

Wciągnął powietrze.

Nie. Miał dość rozumu, żeby nie posunąć się za daleko. Nie bał się – po prostu

był rozsądny.

Tylko że… że wciąż miał niedosyt, za krótko czuł jej ciało przy sobie.

Może chwila dłużej osłabiłaby jego pragnienie.

Podejrzewał, że tego typu wewnętrzne rozmowy mogli prowadzić ze sobą przyszli uzależnieni od opium po tym, jak po raz pierwszy zasmakowali trucizny.

– W nocy rozmyślam poważnie o naszych wspólnych interesach, Liebman.

Które, zgodnie z jego przewidywaniami, kwitły. Ich pierwsza, pośpiesznie wydrukowana i rozprowadzona talia kart dworskich sprzedała się na pniu pomimo wygórowanej ceny (dwa funty) i wiele sklepów w Burlington Arcade zamówiło więcej kompletów; Almacks zamówił sto talii, klub White'a dwadzieścia pięć, co najmniej pięć domów gry co najmniej kolejną setkę; Klaus zaczął marzyć na jawie o kupnie następnej prasy, a Jonathan o podwojeniu zysków.

W tym tempie mogli odzyskać inwestycję Tommy w ciągu paru tygodni.

– A ja dzień w dzień z tego korzystam – powiedział Klaus rozmarzonym głosem.

Niesłabnący strumień pięknych kobiet płynął regularnie do jego zakładu; panie zasiadały w fotelu przy oknie, żeby pozwolić się szkicować.

To był istny popis próżności i współzawodnictwa, chłodnych spojrzeń i wzgardliwych min, kiedy śmietanka londyńskich piękności mijała się w drzwiach, wchodząc do drukarni Klaus Liebman & Co. i wychodząc z niej, żeby powierzyć uwiecznienie swojego wizerunku Wyndhamowi, którego sława zaczęła wówczas rosnąć. Przechodnie na Bond Street zwalniali, żeby podziwiać modelki.

Nic dziwnego, że Argosy zainteresował się handlem. No, bo chyba dlatego zdecydował się wstąpić do sklepu przy Bond Street.

Otrzymali stosy zamówień. Jak do tej pory, setki. Dwieście zaraz po tym, jak Klaus Liebman & Co. zamieścili reklamę w gazetach.

– W jaki sposób wybierzemy ostatnie modele?

– Och, myślę, że możemy losować nazwiska z kapelusza – odparł Jonathan roztargnionym głosem.

Usiłował sobie wyobrazić, do jakiej talii kart pasowałaby Tommy. Może: Najbardziej Problematyczne Kobiety Londynu. Mężczyźni przybywaliby stadnie, żeby ją kupić, wdzięczni za ostrzeżenie. Można by drukować świeżą talię, z nowymi twarzami co roku – jak kalendarz.

Jonathan uśmiechnął się do siebie.

Pomysły są kapitałem.

– Czy naprawdę zamierzasz wylosować narzeczoną z kart? – zapytał Klaus smętnie. Sam marzyłby o podobnej możliwości.

Jonathan pomyślał o balu, który go dzisiaj czekał, i o wszystkich pięknych

kobietach, z którymi będzie musiał zatańczyć.

– Ależ oczywiście, drogi Klausie. Czy mógłbyś wymyślić lepszy sposób na znalezienie żony?

Klaus, Niemiec i generalnie urodzony optymista, nie dostrzegł w tych słowach ironii.

Raz, dwa, trzy… Raz, dwa, trzy…

Walca Sussex mógłby tańczyć we śnie. W tej chwili niemal znajdował się w tym stanie, chociaż piękna, jasnowłosa kobieta, której dłoń trzymał i której talię obejmował, wydawała się nie zdawać sobie z tego sprawy.

– Papa mówi, że strzela się doskonale. Kuropatwy same wystawiają się na cel.

– Och, to szkoda. Sport w tej dziedzinie polega na tym, że zwierzęta, które chce się upolować, starają się nie zostać upolowane.

Lady Grace Worthington nie wyczuła sarkazmu.

– Cóż, pozostaje jeszcze jazda konna. Mieszkamy obok najpiękniejszych lasów, jakie zostały w Anglii. Tyle drzew wycięto na budowę okrętów na cele wojenne. Papa zarobił fortunę.

Jonathan był w pełni świadomy ich majątku. Jego papa marzył o koneksji z jej papą.

– Lubisz jazdę konną, lady Grace?

– O, tak! Chodzenie też jest bardzo przyjemne.

– Och, zgadzam się. Kiedy zamierzam przenieść się z jednego miejsca w drugie, wybieram między chodzeniem a jazdą konną.

Nagły brzęk był zapewne odgłosem ironii przelatującej nad jej niewątpliwie piękną, złotowłosą głową.

Jonathan bawił się, ale nie z właściwych powodów.

– Są tam także ruiny – oznajmiła z entuzjazmem. – I to bardzo ładne.

– Tego jestem pewien. – Przeklęte ruiny spotykało się w całej Anglii.

Zastanawiał się, czy dzieci czują się w ten sposób, kiedy się je kołysze. Nigdy nie przyszłoby mu do głowy, że walc może go uśpić. Jeszcze niedawno walc uchodził za skandaliczny taniec. Mężczyźni i kobiety dotykający się przez cały taniec. Coś jak seks na stojąco. Jakie to zmysłowe.

Jakże takie opinie rozmijały się z prawdą.

Chociaż, jak wszystko w życiu, to zapewne zależało od partnera.

– Jest też sztuczny zamek, gdzie można odbyć piknik – wciąż mówiła.

– Zamki są śliczne. – A niech to!

– Tak, nieprawdaż? – uśmiechnęła się. Jej zęby błysnęły jak perły. Jej krótka

górna warga spoczywała na nieco pełniejszej, dolnej. Jej usta są jak pączek, o, tak, pomyślał zdumiony. Poeci nie są zupełnie szaleni, kiedy wypisują takie głupstwa.

Usta Tommy miały szczodrość… świeżo rozkwitłej róży.

Kiedy o tym myślał, wcale nie wydawało mu się, że to takie głupie.

– Zwykle zabieram tam swoje hafty, kiedy jest ładna pogoda.

Nieznacznie zmarszczył brwi. Zabierała hafty do…?

Ach! Zamek!

– Jakie motywy haftujesz? Powiedz, że motyle!

– Tak! – uśmiechnęła się. – I kwiaty, i pszczoły. Chusteczki do nosa i podobne rzeczy.

Naprawdę nie miał już nic więcej do powiedzenia na ten temat. Chyba że: Tak, ale co ty, u diabła, robisz całymi dniami?

Nie powiedział tego. Bo to było nie tylko jawnie nieuczciwe, ale do tego szalone. Jeśli angielski dżentelmen potrafił stanąć na wysokości zadania, kobiety w jego życiu nie musiały się niczym zajmować. Tylko haftem, dzierganiem na drutach. Wychowywały dzieci przy pomocy batalionu służących. Prowadziły dom. Uśmiechały się promiennie do męża przy śniadaniu.

Kobieta nie powinna być zmuszona, by kraść poszkodowane sierotki, żeby uchodzić za interesującą.

Byłby w istocie okropnie nieszczęśliwy, gdyby Tommy de Ballesteros obrabowała go z przyjemności prowadzenia pustych rozmów. Praktycznie dowodziły szlachetnego pochodzenia. Wygodne jak puchowe łoże. Tak angielskie jak Union Jack. Stanowiły część jego życia, jak równiny Sussex, i tak było zawsze.

Jednak weterani wojenni często wracali do Anglii znudzeni, zagubieni i pozbawieni celu po zgiełku, bolesnych przeżyciach i nieprzewidywalnych w skutkach zmaganiach na polu bitwy. Może Tommy była jego metaforycznym polem bitwy.

Ale jego myśli zawsze biegły do niej, jakby był uwiązany na sznurku, i to krótkim.

Wyobraził sobie, jak jego dłoń czułaby się teraz na jej talii – to byłoby jak taniec z kolibrem, zwinnym, lekkim, ciepłym – i jakie uczucie budziłaby jej dłoń zwinięta bezpiecznie w jego dłoni i jego usta… tak blisko jej ust…

Tommy chciałaby pewnie prowadzić.

Nie pozwoliłby jej.

Uśmiechnął się do siebie.

Mięśnie jego brzucha napięły się. Nieświadomie ścisnął dłoń lady Worthington.

Odwzajemniła uścisk. I uśmiechnęła się tak uwodzicielsko, że uświadomił sobie,

że on sam musiał się do niej uśmiechać w ten sposób.

– Co sądzisz o pracy dzieci? – zapytał nagle.

Mrugnęła, jakby coś wpadło jej do oka.

A potem jej oczy zrobiły się ogromne, a lekki róż pokrył jej policzki. Nie mogłaby poczuć się bardziej zmieszana i zaskoczona, gdyby nagle głośno puścił bąka.

Mógłby to naprawić, gdyby zechciał. Mógł zmienić temat. Mógłby poprowadzić rozmowę równie pewnie, jak prowadził taniec.

Czekał.

Odchrząknęła.

– Mamy kilku młodych służących. W takim dużym domu jest mnóstwo pracy, a wyżywienie i zakwaterowanie służby mnóstwo kosztuje, a dzieci, cóż, można je bardzo tanio nabyć w domach pracy.

Bardzo tanio. Jak jajka albo ser.

– Czy tak? – zapytał cicho.

– Ależ oczywiście. Twój ojciec z pewnością zatrudnia dzieci.

– Nie – odparł Jonathan. – Nie robi tego. W każdym razie, nie najmłodsze. Myślę, że nasza pomywaczka może mieć jakieś dwanaście lat. Czy sądzisz, że dzieci powinny pracować, kiedy są bardzo małe?

Patrzył, jak dzielnie zastanawia się nad tym, zapewne chcąc mu się przypodobać. O tego rodzaju rzeczach nie musiała myśleć. Służba po prostu była. Utrzymywała dom w porządku i zapewniała jej styl życia, do jakiego przywykła. Nie myślała o niej więcej niż, powiedzmy, o swojej wątrobie czy trzustce.

– Cóż, oni nie są przecież tacy jak my, prawda? To dzieci służący.

– Nie, przypuszczam, że nie są tacy jak my. Poza dwojgiem oczu, czworgiem członków, tych samych płci i tym podobnych.

Pokiwała z ulgą głową przekonana, że doszli do zgody.

Stłumił westchnienie.

To pewne. Był beznadziejny w pustej konwersacji.

Porzucił stałe wysiłki, żeby ją podtrzymywać. A jego myśli ponownie skierowały się ku Tommy de Ballesteros.

Lady Grace wyraźnie martwiło jego milczenie. Nie zrobił nic, żeby jej zmartwieniu ulżyć.

– Pan Wyndham powiedział, że światło kocha moją skórę – wyrzuciła z siebie. A potem zarumieniła się stosownie. – Malował mnie do talii Diamentów Czystej Wody.

Jonathan natychmiast oprzytomniał. Po artystach można się spodziewać, że coś

takiego powiedzą.

– A któż nie pokochałby twojej skóry? – Jonathan ofiarował jej szczerze uwodzicielski uśmiech.

W sali balowej zapanował niepokój, wachlarze zatrzepotały nerwowo, damy starały się zapanować nad odruchem uniesienia brwi, gdyż mimika twarzy mogła wywołać przedwczesne zmarszczki.

Uświadomił sobie poniewczasie, że wynikiem tego rodzaju sytuacji mógł być policzek od lady Phillipy Winslow.

Nie był temu winien.

Miała nieskazitelnie cudowną cerę. Resztę, zapewne, także. Modna suknia prezentowała smakowity fragment jej biustu, który wydawał się pełny, biały i miękki. A jednak nie był w stanie wydobyć z siebie dość zainteresowania, żeby zajrzeć pod tę suknię, podczas gdy tydzień wcześniej śnił o tym na jawie bardzo wyraźnie. Była doskonale przyjemną osobą ze zrozumiałą i niemałą dozą próżności, którą wykorzystał na potrzeby swojej talii kart.

Doprawdy. Powinien być dla niej miły. To chyba nie kosztowałoby przesadnego wysiłku? Z pewnością wychowano go tak dobrze, że nie potrafił inaczej?

– Czy rzeczywiście zamierzasz wylosować narzeczoną z kart, panie Redmond?

Śmiałe pytanie, a niech to. Podobało mu się. W każdym razie wcale nie nudne.

– A skąd masz tę wiadomość? – zapytał spokojnie.

– Z… zewsząd.

Uśmiechnął się.

– To się wydaje dość arbitralne, nieprawdaż? I byłoby raczej dowodem zarozumialstwa? Skąd miałbym pewność, że wylosowana dama mnie zechce?

Ciekaw był, co na to odpowie.

– Z pewnością jesteś świadom, panie Redmond, że uchodzisz za najlepszą partię sezonu.

Powiedziała kobieta święcie przekonana, że to ona jest najlepszą partią sezonu.

Czy był nią rzeczywiście? Przypuszczał, że w każdym sezonie musi być ktoś taki. Czyż nie było więcej tytułów na rynku? Ale przecież fortuna Redmondów przebijała wielu arystokratów.

– Słyszałem o pewnych rekomendacjach pod swoim adresem – powiedział pokornie.

Stąpał po grząskim gruncie. Ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzył, to żeby lady Grace uznała, że dwie najlepsze partie pasują do siebie jak dwie krople wody.

Ale chciał także sprzedać wiele talii kart.

– Jednak czy możesz sobie wyobrazić coś bardziej romantycznego, lady Grace,

niż powierzyć przeznaczeniu wybór partnera? A czymże jest przeznaczenie, jeśli nie przypadkową kartą w grze?

Wszystko, co usłyszała, to słowo „romantyczny”. Jej oczy jak bławatki rozbłysły i rozmarzyły się.

– Wierzysz zatem w przeznaczenie? – szepnęła.

Czy wierzył? To słowo przywołało natychmiast wspomnienie tej przeklętej cygańskiej dziewczyny, Marthy Heron, wzbudzając w nim gwałtowną niechęć.

Otworzył usta, żeby wyrazić uprzejme lekceważenie, kiedy kątem oka uchwycił ruch w głębi sali. W gruncie rzeczy to było raczej wrażenie – mignięcie lśniących włosów, lekkości i wdzięku niemal zwierzęcego. Coś jak dzikie stworzenie, może lis, uciekający do nory.

– Tak – odparł zatem.

Porzucił bez dalszych słów lady Grace, która otworzyła usta ze zdumienia; uciekł, zanim przebrzmiała ostatnia nuta walca, i przebiegł przez salę, przyciągając spojrzenia i wzburzając pióra na turbanach.

Uczestnicy balu szybko jednak zapełnili ścieżki, które wydeptał, podobnie jak woda zalewa koleiny.

2

*T*ommy opierała się o ścianę obok posągu, jak się wydawało, Diany, bogini łowów; patrzyła przymrużonymi oczami, poruszając leniwie wachlarzem pod brodą i spokojnie, po cichu nienawidząc lady Grace Worthington.

Było mnóstwo rzeczy, których można było w niej nienawidzić: diadem umocowany na jej złotej głowie, jakby uważała się za jakąś królową, albo uśmiech wskazujący jasno, że wszyscy w sali należą do jej wiernych poddanych – albo ta suknia – intensywnie niebieska jak pewna para oczu, jedwabna, boleśnie stylowa. Jej cena była zapewne królewska.

Zasadniczo nienawidziła jej z powodu ręki spoczywającej na jej kibici.

W istocie nie mogła oderwać od tej ręki oczu.

W racjonalnej głębi umysłu, który nadal nie wrócił do swojej pełnej, pragmatycznej mocy w następstwie nieszczęsnego pocałunku, wiedziała, że to wszystko bzdura, że gdyby mogła sobie na to pozwolić, sama założyłaby diadem na głowę, generalnie lubiła się uśmiechać i nie ma mowy, żeby określając dziewczynę jako piękną, nie zostało się oskarżonym o przesadę. Jeśli ktoś lubił blondynki, otóż to.

Mężczyzna, który z nią tańczył – po raz drugi tego wieczoru – najwyraźniej lubił.

Z pewnością spędzał dnie i noce, dotykając ich – nawet jeśli tylko towarzysko – nawet jeśli tylko podczas walca i innych tańców. Nie mogła twierdzić, że wcześniej o tym nie wiedziała.

Całkiem co innego oglądać to na własne oczy.

On także się uśmiechał. I dlaczego widok tego, jak uśmiecha się do pięknej, jasnowłosej kobiety działał na nią tak, jakby wbijano jej kilof w serce, nie miała pojęcia. Zwłaszcza wobec tego, że nie widząc go w tym tygodniu w Salonie, odczuła szczególną ulgę; dzięki temu mogła przefruwać od jednego mężczyzny do drugiego, zbierać komplementy, roztaczać czar, poprawiać nastroje. Z wyjątkiem własnego.

Tak więc przeżywała tortury. Ale nie mogła przestać na niego patrzeć.

Ukradkiem.

Zza posągu.

I peruki hrabiny Mirabeau.

Dzisiaj hrabina Mirabeau mogłaby uchodzić za bywalczynię na dworze Króla Słońce – w peruce, w sukni z długimi, opadającymi rękawami. Znalazła ławkę pod ścianą, na tyle długą, żeby pomieścić jej ogromną, wyszywaną paciorkami suknię i złożywszy obie dłonie na lasce, przyglądała się balowi z lekkim, ale wyrażającym ukontentowanie uśmiechem, kiwając głową w takt muzyki. Tylko tego hrabina oczekiwała od balów w obecnych czasach – usiąść na brzegu rzeki wesołości i patrzeć, jak przepływa.

Zachęciła Tommy, żeby jej towarzyszyła i teraz Tommy żałowała, że na to przystała. Tak mocno ściskała wachlarz, że o mało go nie połamała. Walczyła z niezwykłą u niej chęcią ucieczki, jakby czaił się za nią drapieżnik, tyle że w tej chwili była praktycznie niewidoczna. Co za ironia, wziąwszy pod uwagę, że to ona zwykle nosiła metaforyczny diadem, ją obdarzano uśmiechami, ona obdzielała po królewsku swoją uwagą. Jednak nikt nie spodziewałby się Thomasiny de Ballesteros tutaj, wśród mieniącego się blaskiem klejnotów tłumu utytułowanych kobiet, których twarze, za sprawą Jonathana, ozdobiły talię Diamentów Czystej Wody i mężczyzn, którzy odwiedzali Salon hrabiny i wychodzili ze skóry, żeby ściągnąć na siebie spojrzenie Tommy. Po prostu tu nie pasowała. A jej suknia, najlepsza, jaką miała, była całkiem pospolita.

Patrzyła, jak Jonathan tańczy z kobietą z gatunku tych, pośród których przeznaczone mu było znaleźć sobie żonę, i oddychała z trudem.

Czego chcesz?, zapytał ją Jonathan.

Nagły wstyd wywołał na jej policzkach rumieńce. Jonathan wiedział doskonale, że jej świat był dosłownie półświatkiem, jakimś światem pomiędzy, w istocie żadnym światem. Nie miała kontekstu. Nie pasowała do gości na balu ani też nie pasowała wyraźnie do żadnej warstwy londyńskiego społeczeństwa, chyba że uznać za takową mieszkańców jej domu – Rezydencji Ludzi o Wątpliwych Profesjach.

Ale on pasował. I wszędzie byłby na właściwym miejscu. Ona zdobyła pewność siebie w walce o przetrwanie i to było coś wielkiego. On się taki urodził; pewność siebie była jego przyrodzonym prawem. Uświadomiwszy to sobie, patrząc na niego, na mężczyznę pełnego naturalnego wdzięku, śmiałego, o niezachwianej pewności siebie, poczuła się nagle nic niewarta i śmieszna, pragnąc go. Skoczył do Ouse bez zastanowienia, żeby ją ratować. Dzięki nazwisku zapewnił bezpieczne miejsce małej dziewczynce. Był niezwykły od początku do końca.

A kim ona była? Szczyciła się tym, że przeżyła. Ale… zwierzęta zadowalały się tym, że żyją. Robiła, co musiała, żeby przeżyć, dokładnie tak jak leśne stwory. Wyraźniej niż kiedykolwiek przedtem, dzięki Jonathanowi Redmondowi zrozumiała, że to po prostu nie wystarczy. Jak rozpaczliwie pragnie gdzieś należeć.

Czego chciała? Na nieszczęście, dużo lepiej zdawała sobie sprawę z tego, czego nie chciała.

Nie chciała niczego potrzebować, zwłaszcza czegoś – lub kogoś – czego mieć nie mogła. Zbyt wiele jej już odebrano i miała dość usypiania bólu, prostowania pleców, dzielnego parcia naprzód.

Takie niebezpieczeństwo niosły pocałunki. Przynajmniej te, które on jej dał. Pozbawiały ją możliwości obrony, obnażając jej życie takim, jakie było – zbudowane na nędznych fundamentach jak dom, w którym mieszkała.

Drgnęła, kiedy gromadka młodych, czarujących dziewcząt w białych muślinach zbliżyła się nieśmiało do hrabiny i zatrzymała się, żeby skomplementować jej suknię.

– *Madame, c'est une jolie robe!*

– *Merci, mademoiselle. Vous etês très jolie ce soir aussi* – odparła łaskawie hrabina.

– *Je pense que vos cheveux gros est très charmant*.

O ile Tommy się nie myliła – jej francuski był bardzo podstawowy, matka nie zdążyła jej wiele nauczyć, zanim zmarła – młoda dziewczyna powiedziała właśnie hrabinie, że uważa jej wielką perukę za czarującą.

Hrabina zachichotała.

Kiedy wokół rozbrzmiewała szkolna francuszczyzna i śmiech, Tommy jak zwinięta sprężyna w końcu odskoczyła od ściany, żeby rozejrzeć się za miejscem, gdzie mogłaby pobyć sama.

Nie uciekała. Po prostu w ruchu czuła się lepiej.

Ironią losu dziewczyna, która poruszała się bez trudu w labiryncie, jakim stawał się Londyn w nocy, zgubiła się, szukając pokoju, gdzie goście odpoczywali.

Uznała, że to kolejna metafora. Albo znak, że nie pasuje do tego domu.

Jej kroki rozbrzmiewały po marmurowej podłodze coraz dalej od sali balowej, aż odgłosy dobiegające stamtąd stały się tylko słabym echem.

Zatrzymała się, napotkawszy długi, niski stół, którym zastawiono szklane drzwi balkonowe. Najwyraźniej dalej nie mogła się posunąć.

Znieruchomiała i wtedy znowu usłyszała kroki.

Odwróciła się gwałtownie, odruchowo gotowa do walki.

Zamarła na jego widok.

Stał nie dalej niż dziesięć stóp od niej.

Serce skoczyło jej do gardła.

Wpatrywali się w siebie przez chwilę. A potem jego usta rozciągnęły się powoli w uśmiechu.

Napięcie opadło z niej jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i odzyskała pewność siebie, straciwszy wszelkie wątpliwości: uśmiech, jakim obdarzał kobiety takie jak lady Grace, różnił się ogromnie od tego, jakim obdarzył ją.

Uśmiech, jaki widziała lady Grace, był maską.

Ten, który przeznaczył dla niej, odsłaniał go.

Trzema długimi krokami znalazł się tuż przed nią, tak że mogłaby wyciągnąć rękę i go dotknąć. Pochyliwszy się, mogłaby oprzeć się na jego piersi.

– No, no, no – odezwał się cicho. – Czyż to nie panna Thomasina de Ballesteros. A ja nie mam pistoletu.

Wydawało się, że nie mogą przestać się do siebie uśmiechać.

– Wiesz, Tommy, ostatnia partnerka w tańcu zapytała mnie, czy wierzę w przeznaczenie. Jak myślisz, co jej powiedziałem?

– Powiedziałeś, żeby pozowała do talii kart, a za jakiś miesiąc przekona się, czy warto wierzyć w przeznaczenie.

– Hm. – Przyjął tę szpilę z lekkim uśmiechem.

– Jak mnie tutaj znalazłeś? – Powiodła ręką po pustym, mrocznym korytarzu.

– Ja? Zobaczyłem kobietę o szkarłatnych włosach, która poruszała się wyjątkowo szybko, więc ruszyłem za nią, jak pies, który choćby nie chciał, musi ścigać wiewiórkę. Ślepy instynkt.

Nagle zabrakło jej tchu.

– Nie są szkarłatne – zdołała jedynie wykrztusić. Cicho.

Tylko się uśmiechnął.

– Co ty tu robisz, Tommy? Myślałem, że pewnie wypiłem za dużo tej paskudnej ratafii i coś mi się zwiduje.

– Hrabina Mirabeau dostała jedno z rzadkich zaproszeń, więc zabrała mnie jako osobę towarzyszącą. Wydaje się jednak, że nie potrzebuje, żebym się stale koło niej kręciła. Świetnie sobie radzi sama.

– Och. Gdzie ona jest?

– W kącie, przy ścianie. Jak cofniesz się kawałek i wyciągniesz szyję, zobaczysz tylko perukę wysoką jak wieża. Dzisiaj wygląda jak Marie Antoinette. Zostawiłam ją na chwilę, żeby pójść odpocząć. Wydaje się dosyć szczęśliwa, prawda? Gromadka młodych panien ćwiczy na niej swój francuski.

– Wygląda na szczęśliwą – powiedział, chociaż wcale się nie odwrócił. Jakby bał się, że Tommy zniknie, kiedy choćby mrugnie okiem.

Milczeli.

Bum, pomyślała Tommy.

Miała wrażenie, że powietrze między nimi nagrzało się. Prawie je czuła, jak coś namacalnego, jak ciepły aksamit.

Choć to mogły być jej policzki.

Nie można powstrzymać zapalonego lontu, pomyślała.

Pomachała wachlarzem.

– Jonathan Redmond w swoim naturalnym środowisku – zastanawiała się głośno. – Czy to nie coś takiego, o czym mógłby napisać twój brat, Miles? Tak samo jak pisał o dzikich ludach?

– Podpowiem mu to.

– A zatem tak spędzasz wieczory? Przebierając wśród dziedziczek dostępnych na rynku?

– Albo będąc obiektem polowania ze strony dziedziczek. Zależy, jak masz ochotę na to spojrzeć. Tak czy inaczej, moja matka jest uszczęśliwiona.

Dziwne, ale brzmiał całkiem szczerze.

Cmoknęła współczująco.

– Co za poświęcenie… tańczyć z piękną lady Grace Worthington… dwa razy.

Spojrzał zaskoczony. Uświadomiła sobie, że właśnie dotarło do niego, co zdradziła: obserwowała go.

I to długo.

– Wiesz, to prawda. – Przysunął się bliżej. Cofnęła się o krok. – Nie wiem, czym zasłużyłem na taką karę. Te przezroczyste niebieskie oczy tak ją oszpecają.

– A złote loki to takie obciążenie na rynku matrymonialnym. Jej mama pewnie rozpacza, że nie zdoła wydać jej za mąż.

Podszedł o krok bliżej. A ona znowu się cofnęła.

– Twoje współczucie to balsam na moją duszę, Tommy. Tańczyć tak blisko takiego śnieżnobiałego, nie potrafię tego inaczej wyrazić, hojnego biustu to doprawdy nie do zniesienia. Powiadam ci, to czysta dobroczynność.

Oboje świetnie się bawili.

– Jakże ty musisz cierpieć! – oznajmiła z mocą. – A jednak z pewnością zasłużyłeś już na miejsce w niebie. Jej różane usta aż kłują oczy.

– Tak. Wolę całować usta z lawy i jedwabiu.

Cisza nie mogłaby nastąpić bardziej znienacka, gdyby wymierzył jej policzek.

Cofnęła się, póki nie wpadła na stół. Podniosła palce do ust; spoczęły na jej

dolnej wardze.

Oczy Jonathana śledziły ich ruch. Ściągnął nieznacznie brwi; szybko spojrzał jej w oczy.

Odsunęła palce i przymknęła powieki.

W historii świata mogły występować chwile nawet bardziej wprawiające w zakłopotanie. Ale Tommy wołałaby się o to nie zakładać.

Podniosła wzrok, nie była tchórzem. Wciąż na nią patrzył. Przysięgłaby, że powieka mu nie drgnęła.

– Z lawy… i… jedwabiu, Jonathanie? – powtórzyła pełnym niedowierzania szeptem, drżąc, z tłumionym rozbawieniem i ciekawością. – To jest… czy ty naprawdę powiedziałeś… z lawy i…

– Cicho! – powiedział, tłumiąc śmiech, równie zdumiony i zaszokowany. – Też jestem przerażony. To się po prostu… samo powiedziało. Ciii…

Ich zwykłe porozumienie i przyjemność z rywalizacji nabrały dwuznacznego, niebezpiecznego charakteru.

I podniecającego.

Gdyby tylko tak bardzo nie podobało jej się to uczucie.

Skierowała wzrok na jego krawat, żeby uniknąć patrzenia mu w oczy. Które wpatrywały się w nią uparcie; to ją przerażało i wprawiało w podniecenie.

Jak ściana, pomyślała. Jest jak pokryta satyną ściana; pamiętam, jakie to uczucie, kiedy jego serce bije przy moim, i jak szokująco gładką ma skórę. A pod tymi guzikami z masy perłowej jest rzeźbiona pierś, po której ma się ochotę przeciągnąć palcem, wyznaczając drogę do rozkoszy.

Bawiła się wachlarzem, sygnalizując jedynie własną konsternację i zamieszanie w myślach. Żadne z nich nie wypowiedziało ani słowa.

Puk, puk, puk – wachlarz uderzał o dłoń. Uspokoiła się dopiero, kiedy zmarszczył brwi.

Teraz byłby doskonały moment, żeby wrócić do sali balowej.

– Chyba było trochę niewygodnie całować usta z… lawy i jedwabiu, czyż nie? – rzuciła w panującą ciszę.

– Och, zdecydowanie niewygodnie. W istocie, bardzo niepokojące doświadczenie. Boję się, że już nigdy nie będę taki sam.

Bystry, jak zwykle. Te słowa były jak figurka na szachownicy, przesunięta w jej stronę.

Twój ruch.

W jego postawie coś się zmieniło: pojawiło się w niej napięcie, niespokojne, czujne oczekiwanie. I ten wyraz twarzy… ostrożny, tak mogłaby to określić.

Jonathan nigdy dotychczas nie sprawiał wrażenia ostrożnego. Jego twarz przypominała twarz hazardzisty, który właśnie postawił wysoko, ale nie jest pewien swojego ruchu.

– Za to na mnie – oznajmiła – ten pocałunek zupełnie nie zrobił wrażenia.

Twarz mu spochmurniała. Jakby go dźgnęła palcem w splot słoneczny.

Ale jeśli go zraniła – raczej nieprawdopodobne – to błyskawicznie doszedł do siebie.

– Och, Tommy. Rozminęłaś się z powołaniem. Powinnaś zostać torreadorem.

– Zbyt nudne. – Znowu poczuła radość z tego tańca, który oboje tak świetnie opanowali, a który ożywiał kolory i sprawiał, że szampan mocniej się pienił. Bezużyteczny głosik w jej głowie mówiący: nie kuś go, nie kuś go, nie kuś go, gdzieś utonął. – Byki atakują przy najlżejszej zachęcie. Zupełnie jak mężczyźni. Proste, przewidywalne stworzenia, oto jacy jesteście.

– Słusznie – szepnął ze zrozumieniem. – Prawie tak przewidywalne i proste jak ty.

Hm. Tego się nie spodziewała.

– Och, wcale nie wiem…

– Że kłamałaś, mówiąc, że nie wywarł na tobie wrażenia? Oczywiście, że wiesz. Że chcesz mnie sprowokować do pocałunku? Oboje o tym wiemy. Ale uznaj mnie… za… „sprowokowanego”, tak czy inaczej.

Śmiał się z niej cicho. Otoczyło ją najpierw jedno, a potem drugie ramię. Klap, klap, jego dłonie plasnęły o stół za jej plecami.

Została zręcznie uwięziona.

Trwali w doskonałym bezruchu, blisko siebie, ale nie dotykając się, na tyle długo, że ich oddechy się wyrównały. A jednak bała się poruszyć, bo to by oznaczało, że go dotknie, a w ciągu ostatnich paru sekund uznała, że pragnie tego bardziej, niż oddychać. Serce łomotało jej w piersi jak para kastanietów. Jego oddech muskał miękko jej policzek. Gdyby chciała, mogłaby policzyć jego rzęsy. Ma niebieskie oczy.

Z odległości tysiąca mil dochodziły słabe odgłosy balu. Z głębi jej świadomości wydobywał się z trudem zlekceważony głos rozsądku, szepcząc ostrzegawczo.

– Mogę sprawić, że poczujesz… to i owo – oznajmił w końcu Jonathan cicho. Obojętnie, jakby byli parą ludzi, którzy w upalne lato szukają rozrywki, żeby zapełnić czas.

– Wątpię.

Uśmiechnął się lekko, niemal litościwie. Powoli uwolnił ją z klatki, podnosząc obie ręce, żeby objąć tył jej głowy. Duże, silne ręce. Jej głowa wpadła w nie aż

zbyt łatwo.

Spojrzał na nią krótko, unosząc brew: widzisz, jak łatwo poszło?

A potem jego wargi zmiażdżyły jej usta.

Żadnych subtelności tym razem. Raczej walka o przyjemność, o to, żeby drugiego podbić. Chciała się dowiedzieć, musiała się dowiedzieć, czy to naprawdę było takie dobre, jak pamiętała. Palce w rękawiczkach wsunęła mu we włosy, żeby mocno trzymać jego głowę, żeby się dla niego otworzyć, żeby dostać jak najwięcej. Jego usta były gorącą satyną i smakowały koniakiem; ich języki zderzały się, plątały, drażniły. I tak oto, szokująco szybko, narosło w niej pożądanie, zamieniając się w palącą potrzebę.

Wydała z siebie cichy, dziwny dźwięk – ni to śmiech, ni to jęk, ni to okrzyk rozpaczy. Nie, nie, nie, nie, nie. Proszę, nie. To nie może być takie cudowne.

– Czujesz coś? – przerwał na tyle długo, żeby wyszeptać te słowa przy jej ustach.

– Och – odszepnęła. – A zatem starasz się na mnie wpłynąć?

Poczuła jego śmiech przy gardle, ponieważ jego usta tam właśnie zawędrowały, do tego czułego miejsca pod brodą, a jego ręce, zdumiewająco śmiałe i pewne siebie i za szybkie, żeby wydobyła z siebie jakiś sprzeciw, zsunęły się na jej piersi. Kiedy odkrył, że jej piersi pod jedwabiem napięły się i stwardniały, zatrzymał się i wyrysował na nich esy-floresy kciukami. Oblało ją gorąco, o mało nie upadła. Wyczuł to i wsunął kolano między jej nogi, podtrzymując jej siedzenie.

– Mogę sprawić, że będziesz czuła. Że zaczniesz krzyczeć. Że odczujesz rozkosz.

Mówił tuż przy jej uchu. Chrypliwie, nagląco. Śmiało. Ale i z błaganiem w głosie. To było takie cudowne, występne i niebezpieczne, że pociemniało jej w oczach.

– Nie możesz – wyszeptała urywanym, ochrypłym głosem. To było zarówno wyzwanie, jak i ostrzeżenie.

Tym razem żadne z nich się nie śmiało.

– Prawie już tam jesteś.

Chwila wahania. A potem:

– Pośpiesz się – syknęła.

Zaśmiał się. Teraz byli konspiratorami. Szybko uniósł jej suknię.

– Nie odwracaj oczu od mojej twarzy.

Zrobiła, jak kazał; patrzyli sobie w oczy, podczas gdy jego palce wsunęły się między jej uda. Sądziła, że jego ręce będą zdobywać, ale on dotykał jej delikatnie, smakując miękką skórę ukrytą między udami. Wsunął palce tam, gdzie jej ciało

było gorące i wilgotne.

Nie mogła wydobyć głosu. Ledwie go słyszała poprzez odgłos własnego oddechu. Jej głowa opadła do tyłu; uchwyciła swoje odbicie w srebrnej oprawie lampy, swojej zaczerwienionej, zniekształconej twarzy o zmrużonych oczach. Jego palce okazały się niemal zbyt zręczne; to był człowiek, który wiedział, dokąd zmierza, i nie zamierzał zbaczać z drogi. Poruszała biodrami, rozkosz narastała, aż w końcu wybuchła. Za jej oczami rozbłysły białe gwiazdy.

Zakrył jej usta dłonią.

Ponieważ krzyknęła – prosto w nieskazitelny rękaw jego doskonałego czarnego kubraka.

Zadrżała.

Wszystko razem trwało minutę, a może dwie.

Spojrzała na niego, oszołomiona. Jego oczy także pociemniały i patrzyły niezbyt przytomnie.

Oboje dyszeli, jakby… właśnie przepłynęli milę w Ouse.

– Czy to jest nasze nowe hobby? – szepnął.

Zaśmiała się boleśnie, zakryła twarz dłońmi i zakołysała się, podczas gdy on wygładził jej spódnicę i dyskretnie wyciągnął chusteczkę z kieszeni.

Oderwała dłonie od twarzy i spojrzała na niego niemal oskarżycielsko.

Ponieważ teraz wiedziała. To nie było takie dobre, jak pamiętała. To było lepsze niż wszystko, co śmiała sobie przedtem wyobrażać, ale mogła sobie wyobrazić, że mogłoby być jeszcze lepsze. Na przykład, gdyby zdjęli ubrania, a on położył się na niej i spróbowaliby w ten sposób. W gruncie rzeczy to było okropnie niewygodne i dość przerażające, chociaż ona nie należała do takich, co przyznają się do strachu.

Właściwie odczytał wyraz jej twarzy.

– Nie podoba mi się to ani trochę bardziej niż tobie.

Miał na myśli swoją gwałtowność. Otworzyli coś w rodzaju erotycznej puszki Pandory.

– Ty zacząłeś – powiedziała jak dziecko.

– To nie ja zerwałem z siebie ubranie – oburzył się – żeby skakać z mostu!

– A zatem rozbudziłam w tobie namiętność? Nie mogłeś się powstrzymać?

Wciągnął powietrze.

– Tommy… czy ty naprawdę myślisz, że nie mogłabyś rozbudzić namiętności w każdym mężczyźnie?

Uśmiechnęła się na to szelmowsko, skutecznie ułagodzona.

Ale po chwili znowu poczuła się zakłopotana.

– Jonathan… myślę, że jedno z nas powinno to powiedzieć. Jesteśmy

przyjaciółmi, prawda?

Dziwnie znieruchomiał. Prawie jakby spodziewał się ciosu.

– Jesteśmy przyjaciółmi? – nalegała, zaniepokojona.

– Tak. Oczywiście. Jesteśmy przyjaciółmi. – Jego głos brzmiał zaskakująco łagodnie.

Odetchnęła z ulgą.

– Ponieważ… ponieważ teraz potrzebuję przyjaciela bardziej niż… czegokolwiek innego.

Zrozumiał natychmiast.

– Chcesz powiedzieć, że przyjaciele nie krzyczą w rękaw drugiego przyjaciela, przeżywając niebotyczny orgazm.

– Tak sądzę. Nie, nie robią tego.

Teraz uśmiechali się do siebie, choć widziała na jego twarzy pewną rezerwę, strach przed zbytnią radością. Jakże go lubiła. Jakże pogodnie płynęło życie z nim w pobliżu, jak niezwykła stawała się codzienność, jakiż bezpieczny wydawał się świat. Nie rozumiała, dlaczego jej serce wydawało się zarazem pękać i rosnąć ze szczęścia. Wiedziała tyle, że jest go teraz świadoma w swojej piersi, tak jak zauważamy istnienie palącego słońca w południe. W tym momencie posiadanie serca wydawało się czymś niewygodnym.

Jonathan odchrząknął.

– Doskonale. A zatem ustalone. Jesteśmy przyjaciółmi i powinniśmy zachowywać się tak, jak przyjaciele się zachowują. Będę ci zaplatał włosy. Będę z tobą chodził do kasyna, na wyścigi konne, do burdelu…

– Jonathan.

Przerwał.

Po raz pierwszy dotarło do Tommy, że Jonathan ma poczucie humoru, ponieważ dowcip trzymał na wodzy wszystko co ponure i smutne, nie dopuszczał, żeby się w tym zanurzyć. Być Redmondem to niełatwe zadanie.

Nagle poczuła przypływ opiekuńczości wobec niego. Wobec mężczyzny, który postanowił jej bronić, podczas gdy nikt inny w jej życiu dotychczas tego nie robił. Gdyby tylko wiedział, jaki jest wyjątkowy. Jak jego ojciec mógł myśleć inaczej?

– Jestem zaszczycony, mając twoją przyjaźń, Tommy.

Powiedział to zwyczajnie, z cudowną powagą, która przypomniała jej, że Redmondowie to wynik wychowania wielu pokoleń, sięgających wieki wstecz. Wiedziała, że mówi poważnie.

– Ja też, Jonathanie.

Przypieczętowanie tego uściskiem dłoni było absurdalne, poza tym w tej chwili

wolała unikać dotykania go, nie ufała sobie.

Jako że wydawało się, że nie ma w tej chwili nic więcej do powiedzenia, a w sali balowej czekają tłumy młodych kobiet, które uznałyby wieczór za zmarnowany, gdyby Jonathan Redmond nie wrócił, żeby je poprosić do tańca, odezwał się:

– Cóż… to była przyjemność, Tommy. – Tylko z lekką nutką ironii.

– Nieprawdaż? Dziękuję. – Nie dodała: „za niebotyczny orgazm", ponieważ tego można się było raczej domyślać, a wyrażenie tego głośno nie pasowało do nastroju chwili.

Skinął głową, unosząc z rozbawieniem brew, odwrócił się i odszedł.

Ogarnęła ją dziwna panika, kiedy patrzyła, jak odchodzi. Jego plecy, biel kołnierzyka kontrastująca z czarnymi włosami, szerokie ramiona, które mogły zdusić jej wszelki opór, gdyby zechciał, nagle wydały się wzruszające i pełne znaczeń. Wiedziała, że się boi. Tego, co do niego czuje, zamętu, jaki wywołał w jej ciele, a jednak wiedziała, że naprawdę bezpieczna może być z dala od niego.

Otworzyła usta.

Przypuszczała, że chciała powiedzieć: „przyjemnego wieczoru", zamiast tego z jej ust wydobyło się:

– Koniak i satyna!

Zdumiona, zacisnęła wargi.

Jonathan zwolnił. Znieruchomiał. Odwrócił się powoli w jej stronę.

– Co ty…? – A potem twarz mu się rozjaśniła powoli, zrozumiał. Podniósł palce do ust.

Oczy gwałtownie mu rozbłysły.

Och, Boże dopomóż, wiedział, co miała na myśli. Koniak i satyna… to czuła, całując go.

– Tak… mi się jakoś powiedziało – ledwie szeptała. Czuła się straszliwie upokorzona.

Milczał. I nie poruszał się. Mięśnie twarzy napięły mu się pod wpływem siłą powstrzymywanej emocji. Gdyby nie lśnienie tych błękitnych oczu – tak intensywne, że pozbawiało ją tchu – można by go wziąć za posąg. Wydawał się szukać czegoś w jej twarzy albo wzywać, żeby się odezwała. Bogu tylko wiadomo, co tam zobaczył, poza szkarłatnym rumieńcem.

Wyraźnie nie znalazł, czego szukał, bo w końcu kącik jego ust drgnął. Jakby Jonathan śmiał się z samego siebie.

Skłonił się lekko.

Odwrócił się i rzeczywiście odszedł, żeby tańczyć z kobietami, których nie uważał za swoje przyjaciółki.

3

Ranek wstał szary, co bardzo odpowiadało Jonathanowi.

Na śniadanie zjawił się przy stole wcześniej, niż chciał, i nawet trzy filiżanki wyjątkowo czarnej kawy nie zdołały ożywić ołowiu, który zastąpił mu krew w żyłach. Obecność ojca, który przyszedł jeszcze wcześniej, nie dodała mu otuchy, zwłaszcza że starszy pan wydawał się niezwykle czujny, co zupełnie nie pasowało do jego wieku.

A potem Jonathan uświadomił sobie, dlaczego kawa nie pomaga. To nie był skutek nadużycia trunków. To był ćmiący, dokuczliwy ból niezaspokojonego pożądania.

Przyjaciel. Słowo bez cienia zmysłowości. Co za szkoda. I, w pewien sposób, co za ulga. Ale mówił poważnie: czuł się zaszczycony, mając jej przyjaźń. Bo, w gruncie rzeczy, nie tylko ją podziwiał. Żywił także nie do końca sprecyzowaną obawę, że nie jest jej wart.

A nigdy przedtem nie myślał o kobiecie w ten sposób: jakby musiał na nią zasłużyć.

Ojciec odchrząknął.

– Co to takiego ta talia kart Diamenty Czystej Wody, o jakiej doszły mnie słuchy?

Jonathanowi widelec zamarł w połowie drogi do ust.

Szybko odzyskał kontenans, włożył jajko między zęby i zaczął przeżuwać, po czym odłożył widelec.

Z jednej strony, jeśli ojciec o tym słyszał, to dobrze wykonali swoją pracę.

– A co słyszałeś, ojcze, o Diamentach Czystej Wody?

– Że zamierzasz wylosować spośród nich przyszłą żonę.

Przyglądał się teraz Jonathanowi z najwyższą uwagą. Być może sprawdzając, czy nie ma znowu podbitego oka.

Jonathan zawahał się.

– A, tak. Ta plotka. Też ją słyszałem – zamilkł na chwilę. – Gdzie ją słyszałeś? – zapytał ostrożnie.

– Od twojej matki.

– Od matki? – Jonathan o mało się nie zakrztusił.

– Która to usłyszała od wicehrabiego Worthingtona.

– Skąd do czorta…

– Który usłyszał o tym od swojej żony.

Która usłyszała o tym od swojej córki, dokończył w myślach Jonathan.

– Wicehrabia Worthington mówił, że widział wczoraj, jak biegniesz przez salę balową. Zostawiłeś jego córkę samą na parkiecie.

Och, zrobił to. Wyobraził to sobie. Miał ochotę zamknąć oczy. To w istocie w złym guście zostawiać dziewczynę, której jedyna wada, w gruncie rzeczy, polega na tym, że nie jest Tommy.

Ale lady Grace lubi chodzić. Ba, to jedna z jej ulubionych rozrywek. Sama mu to powiedziała! Mogła wrócić na miejsce sama. Kusiło go, żeby to głośno powiedzieć.

– Żałuję tego. To było karygodne. Ale miałem pilną sprawę do załatwienia.

– Za dużo ratafii? – zapytał ojciec oschle.

– Jeden kieliszek ratafii to już za dużo ratafii, ale nie.

Ojciec uśmiechnął się lekko. On także nie lubił drażnić sobie gardła marnym trunkiem.

– Nie, ale… coś w tym rodzaju.

Ojciec postanowił więcej nie dociekać, być może dlatego, że właśnie spożywali śniadanie.

– Kto to jest ten Klaus Liebman?

A zatem ojciec przeprowadził skromne badanie.

– Zręczny drukarz, który rozwinął zdolność powielania doskonałej jakości kolorowych obrazów w dużej ilości.

– Jaki jest twój związek z tym interesem?

– Jestem „& Co.” w „Klaus Liebman & Co.”.

Z dużą satysfakcją odnotował, jak ojciec nieruchomieje.

– Czy ty… pracujesz?

Powiedział to tak, jak ktoś inny mógłby zapytać: czy ty… spółkujesz?

– Boże, nie. Liebman wykonuje całą robotę. Ja tylko dostarczam pomysły i wsparcie. – W postaci plotek, pieniędzy i koneksji.

Tyle dżentelmen powinien.

Ojciec powoli przyjął to do wiadomości. Minęła chwila, wypełniona odgłosami smarowania chrupkiego, opalonego na ogniu chleba masłem i marmoladą.

Jonathan wiedział, że ojciec umiera z ciekawości co do zysków.

W końcu Isaiah nie wytrzymał.

– A jak zarobki? – W oczach ojca błysnęła chciwość.

Pomimo wszystko Jonathan wzruszył się szczerym zainteresowaniem ojca.

Jednak:

– Skromne.

Skromne razy siedem, otóż to.

Ojciec skinął głową, uśmiechając się cierpko, jakby nie spodziewał się niczego innego.

– A wracając do tego nonsensu z Diamentami Czystej Wody… czy to rodzaj reklamy dla ciebie, Jonathanie?

– Przypuszczam, że może okazać się skuteczna. – Arcydzieło powściągliwości to krótkie stwierdzenia. – Jak powiedziałeś, mam pewien potencjał, który mnie rekomenduje, a towarzystwo, jak zwykle, interesuje się ewentualnymi ślubami. Kiedy powiedziałeś: Dziesiątki ładnych panien pojawiają się codziennie na rynku matrymonialnym, pomyślałem: Racja! Wszystko, czego wymagamy od żony, to wygląd i wychowanie no i chętnie tytuł. Z pewnością jedna ładna dziewczyna będzie równie dobra jak każda inna. A potem zasugerowałeś, że zawsze mogę polegać na kartach, jeśli chodzi o moją przyszłość. Muszę ci podziękować. Pomysły są naprawdę kapitałem.

Ściśle rzecz ujmując, nie zatrzepotał rzęsami w stronę ojca.

Ale posłał mu najniewinniejsze spojrzenie, na jakie go było stać.

A potem zaczął siorbać kawę. Trochę głośno, ponieważ głuche milczenie nadwerężało mu nerwy.

Isaiah zamarł w trakcie procesu smarowania tostu masłem. Jonathan widział swoje odbicie w ostrzu noża. Niewinny jak nowo narodzone dziecko.

– Nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że mnie słuchasz – oznajmił w końcu Isaiah, nieco nadąsanym tonem.

– Och… i nie musisz się ojcze martwić o moje kapryśne usposobienie. Na kartach są uwieczniane jedynie kobiety nienagannego pochodzenia. Słynne Kurtyzany Dziewiętnastego Wieku wydrukujemy na świętego Michała. Długo po czasie, kiedy mam wybrać przyszłą żonę.

To mu zyskało, jak się spodziewał, surowe spojrzenie.

– Z pewnością masz na tyle szacunku dla nazwiska rodziny, Jonathanie, żeby nie drukować takich kart.

Zawsze, zawsze, zawsze nazwisko rodziny na pierwszym miejscu.

– Żart – stwierdził krótko Jonathan.

Czy ojciec kiedyś w ogóle się śmiał? Nie mógł sobie niczego takiego

przypomnieć. On i rodzeństwo, wszyscy posiadali poczucie humoru. Być może jako formę obrony przed Isaiahem.

– Jakieś postępy w sprawie młyna w Lancaster? – zapytał, zmieniając temat na taki, który dręczył raczej ojca niż jego.

Ojciec westchnął.

– Zaprosiłem księcia Greyfolk do nas na obiad w Sussex za jakieś dwa tygodnie. Przedyskutujemy jego ewentualne zaangażowanie w Mercury Club. Radca prawny, który zajmuje się sprzedażą fabryki – niejaki wielmożny pan Romulus Bean – odpowiedział zaskakująco… niejasno… na nasze dotychczasowe oferty. Zażądał oświadczenia, w jaki sposób zamierzamy płacić robotnikom.

– Czy jest właścicielem?

– Właściciel umarł bez dziedzica i testamentu i sprzedaż młyna leży wyłącznie w gestii radcy. Wydaje się diabelsko nieskuteczny albo kapryśny. Zażądałem gotowej listy wymagań, jakie musimy spełnić, żeby zacząć procedurę sprzedaży, ale on wyraźnie woli przedstawiać nam wymagania jedno po drugim. Spodziewamy się jednak, że nie będzie w stanie odmówić ofercie ze strony samego Mercury Club.

Spodziewamy się.

Co by się stało z Isaiahem Redmondem, gdyby świat nagle przestał się zachowywać tak, jak on się tego spodziewa?

Przy odrobinie szczęścia wkrótce będzie mógł się o tym przekonać.

Hrabina Mirabeau miała na sobie dzisiaj szaty egipskie albo raczej swoją interpretację owych szat. Na ramię wsunęła złotą bransoletę, a oczy podkreśliła arabskim czernidłem.

Tommy żałowała, że sama nie mogła umalować oczu czernidłem, ponieważ niebieskie cienie pod nimi trochę zanadto zwracały uwagę i niektórzy poeci wplątywali je w metafory, którymi chcieli jej pochlebić.

Powieki zaczęły jej opadać, kiedy stała, słuchając, jak Argosy rozprawia o tym, jakie klejnoty najlepiej pasowałyby do jej oczu. Zachwiała się lekko, ale wyprostowała natychmiast, kiedy mówił akurat:

– Perydot, być może w srebrnej oprawie…

– Lordzie Argosy?

– Tak?

– Jestem osobą. Możesz mówić do mnie jak do osoby.

Powiedziała to z naciskiem, który go zdumiał.

Zamrugał.

– O… oczywiście, że jesteś – powiedział uspokajająco.

Wstrzymała oddech. Wzrosła nadzieja.

– To jest… piękną osobą.

Odwróciła się i odeszła. Ten fakt zdumiał go tak, jakby jego ulubiony kot zamienił się nagle w ryczącego tygrysa.

Zmieniła zdanie, zakręciła się na pięcie i znowu do niego podeszła.

– Czy skoczyłbyś dla mnie z mostu?

– Czy… – Zamrugał. – Czy mógłbym zamiast tego kupić most?

Westchnęła. A potem zrobiło jej się go żal.

– To było tylko hipotetyczne, lordzie Argosy. Nie chciałabym wcale, żebyś narażał się na niebezpieczeństwo z mojego powodu.

Porzuciła go, zanim zdążyła zobaczyć wyraz ulgi na jego twarzy wraz ze słabym uśmiechem, i ruszyła przez tłum. Wszyscy ci mężczyźni udający, że nie zależy im na jej uwadze. A podczas gdy przedtem krótka, dowcipna wymiana zdań działała jak szampan, to teraz straciła na nią apetyt.

Żaden z nich nie był Jonathanem i to była ich główna wada.

Ale prawda poraziła ją z całą mocą, kiedy leżała w nocy samotnie w łóżku. Pragnęła go. Bardziej niż powietrza do oddychania. Leżała sztywno, zaciskając powieki, wyobrażając sobie jego ręce na swoim ciele, i sama dotykała się w nadziei, że to przyniesie ulgę, że się uspokoi, że stłumi potrzebę.

Nic nie działało.

Oczywiście, postąpiła słusznie. Niczego by nie zyskała poza przyjemnością. A wiele mogła stracić.

Potrzebowała trochę powietrza, którym nie oddychali zepsuci arystokraci i poeci.

Wymknęła się z pokoju, mijając hrabinę i kierując w stronę otwartego okna w południowym salonie.

Nagle zza rogu wyłonił się lord Prescott.

Drgnęła i położyła dłoń na sercu.

– Wielkie nieba, lordzie Prescott, przestraszyłeś mnie.

– Panno de Ballesteros, odmawiasz mi rozmowy. Unikasz mojego wzroku. A jednak przyjęłaś mój dar, co dało mi powód do nadziei. Nie widziałem, żebyś go nosiła. Czy mam przyjąć, że jesteś pod wrażeniem albo wciąż rozważasz moją ofertę? Muszę wiedzieć… – Wyciągnął niezgrabnie rękę i przesunął lekko dłonią po jej ramieniu. – Powstrzymała się z trudem, żeby się nie wzdrygnąć. – Muszę wiedzieć, co myślisz.

Wiedziała, że wiecznie nie zdoła unikać Prescotta. Ogarnęła ją panika.

– Pochlebia mi twoja oferta, lordzie Prescott, i twój aż nazbyt hojny dar – zaczęła łagodnie. – Czy z perłami wiąże się warunek?

– Tylko taki, że kiedy je włożysz, będziesz moja i tylko moja.

Och, tylko taki.

– Jesteś, w istocie, wnikliwy i winna ci jestem podziękowanie za cierpliwość. Czuję się nieco oszołomiona i onieśmielona, odkąd otrzymałam perły. Wybacz, jeśli okazałam się nie dość wdzięczna.

– Wierz mi, kiedy mówię, że będę samą dobrocią i hojnością, Tommy. Najlepsze modystki do twojej dyspozycji. Własny powóz. Służba na każde skinienie.

Oferta była naprawdę hojna. W istocie, myśl, że mężczyzna wyliczył jej wartość w funtach, zaparła jej dech w piersi.

Jej wartość, oczywiście, kiedy była naga i posłuszna.

Skąd mógł wiedzieć, czy pod ubraniem nie jest pokryta futrem, wrzodami albo lśniącymi łuskami? Chciał jej głównie dlatego, że wszyscy inni jej chcieli. Wiedziała co nieco o napędzaniu popytu.

Ale Prescott posiadał ogromny majątek i uznał, że ona ma swoją cenę. Czyż każdy jej nie miał?

– Obawiam się, że byłabym okropną kochanką, lordzie Prescott – oznajmiła śmiało, z rozpaczą.

Uśmiechnął się lekko.

– Wątpię, z twoją hiszpańską krwią. Słyszałem, że twoja matka była utalentowana. A ja jestem doskonałym nauczycielem.

Znieruchomiała. Z wściekłości oblało ją gorąco. Oczy piekły z upokorzenia.

Lord Prescott wziął to zapewne za ujmujące onieśmielenie.

Nikt nigdy nie ważyłby się sugerować, że na przykład matka lady Grace Worthington ma talent do sprawiania mężczyznom rozkoszy. Ani przyjąć, że ona sama ten dar odziedziczyła w naturalny sposób. Tak czy inaczej, co to do diabła miało znaczyć? Nie, lady Worthington była wychuchanym, cennym klejnotem, przedmiotem użytkowym, rzecz jasna, ale takim, który najpewniej trafi w ręce mężczyzny, który zapłaci najwięcej i dalej będzie ją rozpieszczał. Będzie bezpieczna i otaczana szacunkiem do końca swoich dni.

Mężczyźni postrzegali wszystko i wszystkich przez pryzmat klasy i powiązań. Żaden z nich nie potrafił sobie wyobrazić Tommy inaczej niż tak właśnie: jako przedmiot adoracji, zalotów i współzawodnictwa, ale z pewnością nie jako damę.

Gdyby Jonathan tu był… Wyobraziła sobie doktora zwisającego z jego pięści, podejrzewając, że coś podobnego spotkałoby teraz Prescotta za jego sugestie. Za propozycję.

Tylko że Jonathan nie miał prawa.

Nie miał prawa.

Nagle odczuła na niego taką wściekłość, jakby to on poczynił insynuacje co do jej zręczności w sprawach, o których miał faktycznie większe pojęcie niż ktokolwiek inny. Była wściekła za sposób, w jaki ją całował, za to, że wzbudził w niej pożądanie, za to, że obnażył jej prawdziwą istotę, za bezsenne noce, za przypomnienie, kim nie jest i czego nie może mieć. Za to, że jego nieobecność pozbawiała jej dni koloru. Za to, że miała członki jak z ołowiu, ponieważ bez niego obok przyciąganie ziemskie bardziej ją męczyło. Niech go diabli.

Zamknęła oczy, przywołując jego obraz, kiedy od niej odchodzi.

Ona go odesłała.

I zastanawiała się, czy jest mu w ogóle do czegoś potrzebna, skoro zostali jedynie przyjaciółmi.

Ale przypomniała sobie także wyraz jego oczu, kiedy jeszcze była.

Tę czujność w jego spojrzeniu, jego intensywność. Czekał na… coś. Koniak i satyna.

To wszystko było na nic. Jedno z nich musiało się zdobyć na zdrowy rozsądek.

Nie mogła zamykać oczu na zbyt długo, ponieważ przed nią stał Prescott, ponury i niezgrabny, mogący przypominać kukłę, ale na tyle bogaty, że stać go było na świetnie skrojone ubranie, które doskonale na nim leżało.

A potem usłyszała własne słowa, wypowiedziane cicho, jak we śnie.

– Obawiam się, że moja cena jest wyższa, lordzie Prescott.

– Niż perły? Niż dom w mieście? Niż pensja, jaką ci wyznaczyłem? Wymień ją.

Zawahała się; czuła się dziwnie, jakby wydawała na siebie wyrok.

– Nie można mnie kupić za mniej niż nazwisko.

Chwilę trwało, zanim do Prescotta dotarło znaczenie tych słów. A potem wyraz jego twarzy uległ subtelnej zmianie; przechylił głowę na bok. Przyglądał się jej, szacując na nowo.

– Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że na tym polega twoja gra, Tommy.

To nie było oskarżenie. Powiedział to z namysłem.

– To nie gra – odparła po prostu. – Czy pozwolisz, że przejdę?

Odstąpił na bok, a ona skierowała się ku oknu.

Nie było dzisiaj dość powietrza na świecie, żeby rozjaśnić jej w głowie i poprawić nastrój.

Przed wieczorem zaczęło padać, znakomicie współgrając z nastrojem Tommy.

Tommy wsunęła klucz w drzwi Rezydencji Ludzi o Wątpliwych Profesjach i

przekręciła go z nadmiernym zapałem, po czym otworzyła drzwi, weszła i pozwoliła im się zatrzasnąć.

Budynek drżał, jakby Rutheford był na górze i spacerował z kąta w kąt, ale tak nie było.

Tak jej się spieszyło do herbaty i ciepłego ognia, że niemal przeoczyła zwitek papieru, który podskoczył na podłodze pod wpływem przeciągu.

Pobiegła za nim, podniosła z podłogi i zabrała do pokoju. Nie mogła się doczekać, żeby zapalić lampę, ale ręce jej się trzęsły i szło jej powoli. A kiedy wreszcie światło zapłonęło, natychmiast obejrzała kartkę, szukając wiadomości.

Z jednej strony nie było nic, poza połową reklamy zakładu „Klaus Liebman & Co.”.

Co za ironia.

Odwróciła kartkę i oto była – krótka wiadomość nagryzmolona węglem.

Opuściła ją.

A potem poczuła inne ciepło w ramionach, zamknęła oczy, odmawiając krótką modlitwę dziękczynną.

Znowu podniosła papierek, zamknęła oczy i pocałowała go.

Ponieważ ta akurat wiadomość stworzyła jej okazję, żeby napisała własną.

W stosie zaproszeń dla Jonathana znalazła się jedna zwykła kartka. Chwycił ją. Patrzył na nią ze zdziwieniem. Potem złamał pieczęć i pochłonął słowa. Było ich tylko kilka.

Jonathan opuścił list, oszołomiony.

Przez chwilę stracił oddech.

Potem powoli podniósł głowę, mrugając.

Czy to… czy to możliwe, że słońce zaświeciło po raz pierwszy od tygodni? Jakże inaczej wytłumaczyć, że pokój jadalny zajaśniał nagle wszelkimi barwami? I czy… słyszał… śpiew? Oczywiście, mogłyby to być ślady *Bee, bee, bee czarna owco*, które tkwiły w jego mózgu, a teraz ożywiły się, jak choroba z gorączką.

Z drugiej strony, całkiem możliwe że to jego serce śpiewało. Poeci mieli nieszczęśliwą skłonność przypisywania sercu strun wokalnych. Podchodził do tego sceptycznie, ale już nie tak jak, być może, kiedyś.

A oddychanie… oddychanie zaczęło nagle dostarczać nowej, świeżej przyjemności. Jakby oddychał po raz pierwszy. Powietrze zamieniło się w wino.

Zamierzam podjąć się czegoś niebezpiecznego. Obiecałam, że cię zawiadomię. Chcesz się w to włączyć? Przyjdziesz dzisiaj?

Twoja przyjaciółka, T.

– Do czego się uśmiechasz, Jonathanie?

Ojciec powiedział to z rozbawieniem.

Jonathan drgnął.

Zupełnie zapomniał, że ojciec siedzi z nim przy stole. Ale nawet to, że ojciec siedzi przy stole, oddychając tym samym powietrzem, nie mogło wpłynąć na jego nastrój. Jego ojciec, w jakiś sposób, też wydawał się nabrać kolorów.

– Piękny dzień – powiedział w końcu.

Ojciec odwrócił się, żeby popatrzeć na chmury za oknem, i leciutko zmarszczył brwi.

Ale kiedy odwrócił się z powrotem do Jonathana, krzesło syna było puste i wciąż się chybotało – Jonathan musiał wstać bardzo szybko, porzucając je.

4

Nie rozmawiali, kiedy otworzyła drzwi.

Nie rozmawiali na schodach ani w korytarzu.

I przez absurdalnie długą, niezręczną chwilę, kiedy weszli do pokoju, gdzie trzeszczał ogień na kominku, a na stole stał czajniczek z herbatą, żadne z nich nie odezwało się ani słowem.

– Tęsknisz za mną, Tommy? – odezwał się w końcu cicho.

– Czy nie widzieliśmy się całkiem niedawno? – odparła po chwili milczenia, usiłując nadać głosowi znudzony ton.

Uśmiechnął się do niej leciutko.

A potem ułożył usta w słowo: „kłamczucha”.

Uśmiechnęła się i odwróciła gwałtownie, wiercąc się bez celu. Na jej policzki wystąpił mocny rumieniec.

– Dobrze wyglądasz – zauważyła uprzejmie. Zabawne, wziąwszy pod uwagę, że w ogóle na niego nie patrzyła.

– Oczywiście. Może powiesz mi, co takiego niebezpiecznego zamierzasz przedsięwziąć?

Tak więc, przy wtórze łomotu, jaki wywoływały kroki Rutheforda na górze, Jonathan słuchał wyjaśnień Tommy, co mają zrobić.

To było, rzecz jasna, czyste szaleństwo. Nie spodziewał się po niej niczego innego.

Zwariowany, niebezpieczny, szalony zamysł. Godny Don Kiszota.

Po długiej chwili, potrzebnej na przetrawienie wiadomości oraz przyjrzenie jej się ukradkiem w poszukiwaniu nowych śladów od kul i tym podobnych – ku swojej ogromnej uldze żadnych nie znalazł – pierwszym pytaniem, jakie padło z jego ust, było:

– Czy powinienem nosić przepaskę na oku?

Wyraźnie zdecydował się wejść z nią w spółkę.

– Przepaskę na oku?

– Albo perukę?

– Chcesz powiedzieć… jak mecenas?

Westchnął rozpaczliwie.

– Na Boga. Przypominam swojego ojca. Przynajmniej w jakiś sposób. To nie jest człowiek, którego nikt nie zna. Strażnik w fabryce, z odrobiną oleju w głowie, dojdzie do tego, kim jestem.

– Po pierwsze, strażnicy nie słyną z inteligencji, szczególnie ten akurat. I nikt na świecie nie dałby mu wiary, nawet gdyby jakimś cudem cię rozpoznał. No bo jaką cieszysz się reputacją, panie Redmond? Gdzie się zwykle obracasz? Widzisz, wszystko da się wykorzystać, nawet reputację, która ostatnio zaczęła ci ciążyć. Czy ty po prostu chcesz włożyć przebranie? – zapytała pobłażliwie. – Czy będziesz się dąsać, jeśli ci na to nie pozwolę?

Przyglądał jej się przez chwilę w lodowatym milczeniu.

– W ogóle nie muszę tego robić – zauważył obojętnie. To była groźba.

Przybrała nieprzekonujący wyraz skruchy na twarzy.

– Myślę, że to pójdzie bardzo szybko – musi pójść szybko – tak więc przebranie nie będzie potrzebne. W istocie uważam, że najlepiej się stanie, jeśli będziesz wyglądał dokładnie tak jak teraz.

– To znaczy jak? Najbardziej pożądany mężczyzna świata…?

Uśmiechnęła się i wolno pokręciła głową, ale jej policzki zaróżowiły się odrobinę bardziej.

– Jak dżentelmen. Przez duże D.

– A co ty będziesz robić, kiedy ja będę przeprowadzał inspekcję młyna z ramienia właściciela?

Ironią losu chodziło o młyn, którego pragnął żarliwie jego ojciec, i to z dnia na dzień coraz mocniej – po prostu dlatego, że nie mógł go dostać. Młyn, którego chciał książę Greyfolk.

– Odwracać uwagę strażnika.

– A w jaki sposób będziesz odwracać uwagę strażnika?

– Och, proszę – roześmiała się wesoło.

Przyciągała uwagę. Tego jej nie mógł odmówić.

Zobaczyli go po dwóch godzinach jazdy w wynajętym powozie, prowadzonym przez woźnicę, o którym Tommy wiedziała, że weźmie zapłatę i nie puści pary z ust: budowlę – olbrzyma z czerwonej, błyszczącej w słońcu cegły, pięć pięter wznoszących się nad drzewami i łąką, o wąskich, prostokątnych, rozmieszczonych w równych odstępach oknach. Budynek wyglądał dość niewinnie; z kominów wciąż wydobywał się czarny, ulatujący w niebo dym. Obok lśniła wstęga rzeki.

Budynek – najwidoczniej sypialnia dla dzieci – stał dobre sto stóp z tyłu. Zawsze zamknięty na klucz, jak powiedziała wcześniej Tommy. Zamknięty i strzeżony. I otoczony murem niemal dwukrotnie wyższym od Jonathana.

Żadne dziecko nie mogłoby nawet marzyć, żeby ten mur pokonać.

Reprezentował wszystko, czym żył jego ojciec: postęp, potencjał, zysk.

Ogromny zysk. A Jonathan poczuł, jak jego krew krąży szybciej na myśl o potencjale i jak mrowienie ogarnia jego ciało.

Widział to równie jasno jak tamci dwaj.

Z pewnością jednak zyski napędzane potem i krwią dzieci były zbrukane.

Z pewnością nie musiało tak być?

A czy ojciec o tym wiedział? A książę? Czy ich to obchodziło?

Chłopiec nazywał się Charlemagne Wilkerson. W skrócie Charlie. Miał osiem albo dziewięć lat – nikt nie wiedział na pewno. Mały chudzielec, którego strażnik pobił niejeden raz. Według informatora Tommy w domu pracy Bethnal Green Charliego sprzedano do młyna niecały rok wcześniej, gdzie pracował jako „śmieciarz" albo „igła", co oznaczało, że właził pod gigantyczne, bezustannie obracające się tryby i koła, żeby wymiatać resztki bawełny, które mogłyby zapchać mechanizm i zatrzymać go, albo biegał między ramami urządzenia, wiążąc przerwane nici bawełny.

Śmieciarze, wyjaśniła Tommy, muszą często padać płasko na ziemię, żeby nie stracić skóry na głowie czy nie zostać zmiażdżonym. Dlatego wykorzystywano do tego celu najmniejsze dzieci.

Wiele dzieci zostało w ten sposób okaleczonych.

– A więc bądź ostrożny, zwracając jego uwagę. Żeby go nie zabić.

Jej wiedza w tej dziedzinie budziła w nim pokorę.

– To samo mógłbym tobie radzić – odparł Jonathan, z tym że „go" dotyczyłoby strażnika.

Zdawała sobie z tego sprawę i uśmiechnęła się niemal uwodzicielsko. Do niej należało zajmowanie, jeśli już nie oczarowanie strażnika, wyjątkowo wrednego typa, niejakiego pana Tabthwaite'a, podczas gdy Jonathan miał odnaleźć Charliego gdzieś w fabryce i wyślizgnąć się stamtąd niepostrzeżenie razem z nim.

Co mogło się nie powieść?

Na szczęście miał plan. Albo raczej dwa plany.

Pierwszy był szalony, ale mógł się powieść. Inspirację zawdzięczał małej Sally.

Drugi plan uwzględniał jego pistolet oraz mnóstwo biegania i kluczenia.

I wcale już nie miał pewności, czy wdał się w to szaleństwo dla Tommy, czy dla siebie i czy w ogóle jest jakaś różnica.

Wiedział tylko, że chce, żeby go podziwiała tak, jak on podziwia ją. Dla niej chciał być dzielny.

– Dzień dobry, panie Tabthwaite. Jestem lord Ludlow z Edynburskiego Koledżu Medycznego, a to moja asystentka, panna Edwina Burns. Oczekuje nas pan, jak sądzę.

Zakończył lekkim, uprzejmie pańskim uśmiechem.

Mężczyzna popatrzył na niego zdziwiony. Jedno oko miał znacząco mniejsze niż drugie. Oba były mętne, bez blasku – znamionujące prawdziwe okrucieństwo. Brwi, długie na pół cala, zawijały się do góry, jak czułki u owada. Za to włosy tworzyły zaskakująco bujną, dobrze utrzymaną brązową grzywę.

Jonathan pomyślał o dzieciach oskalpowanych przez maszynerię.

Zauważył, że Tommy patrzy w tę samą stronę.

– Nie znam żadnego lorda Ludlowa – oznajmił obcesowo, niemal bezczelnie Tabthwaite, ale jego oczy biegły ku Tommy jak gwoździe do magnesu. Tommy obdarzyła go uśmiechem tak skromnym, jak śmiały był jej dekolt. Strażnik odpowiedział słabym uśmiechem. To był odruch. Tak zachowywali się mężczyźni na widok Tommy.

Siłą woli skierował uwagę ponownie na Jonathana, kiedy ten się znowu odezwał.

– Wielmożny pan Romulus Bean, twój obecny chlebodawca, który wypłaca ci pensję, zawiadomił cię z pewnością o naszej wizycie. To człowiek niezawodny i niewątpliwie spełnił swój obowiązek. Może wypadło ci to z głowy? – W tych słowach brzmiała lekka nagana, wypowiedziana tonem nieznoszącego sprzeciwu arystokraty. – Panno Burns, zechciej to zanotować.

Nazwisko Romulus Bean ożywiło mężczyznę. Odchrząknął.

– Jaki jest cel pańskiej wizyty, lordzie Ludlow? Zamierzasz zatem kupić fabrykę?

– Panno Burns – powiedział szorstko Jonathan – pokaż, proszę, nasze dokumenty panu Tabthwaite.

Tommy wyjęła stertę szeleszczących, budzących respekt, oficjalnie wyglądających papierów – zaopatrzonych w ogromne pieczęcie i imponujące podpisy i wcisnęła je w ręce Tabthwaite’a, który przyjął je oszołomiony.

– Z rozkazu jego wysokości jesteśmy tutaj w kwestii bezpieczeństwa publicznego. Nasza wizyta dotyczy rudowłosego chłopca, który jest tutaj zatrudniony – Charlemagne Wilkersona. Badanie wykazało, że jest on ostatnim żyjącym mieszkańcem szkockiej wioski, wymarłej na skutek zarazy zwanej

chrysanthia pestis albo inaczej fioletowej zarazy. Bardziej znane, niezbyt adekwatne określenie, to kolka brzuszna. Młody pan Wilkerson jest z pewnością nosicielem choroby.

Mężczyzna otworzył szeroko oczy.

– Kolka brzuszna… ale… ale… myślałem, że to tylko nerwowy żołądek!

A zatem to jest kolka.

– Być może słowo ewoluowało do takiego znaczenia w twojej części Anglii – stwierdził gładko Jonathan. – Zapewniam, że to poważna choroba, niezależnie od nazwy. Powiedz mi, proszę, na którym piętrze znajdę młodego Charlemagne? Polecono mi zabrać go celem kwarantanny i badań.

Tabthwaite zmarszczył brwi.

– Czy wahasz się… wypełnić rozkaz pana Romulusa Beana? – zapytał cicho Jonathan. Z groźbą w głosie.

– Pójdę… i przyprowadzę Charliego.

– Z całym szacunkiem, panie Tabthwaite, najrozsądniej będzie, jeśli tu zostaniesz. Jeśli nie przechodziłeś tej choroby, lepiej nie narażać się dalej niepotrzebnie, pomimo że miałeś już pewien kontakt z chorym. Panna Burns zostanie tutaj i zada ci kilka pytań dotyczących dziecka, podczas gdy ja po niego pójdę. Ja jestem raczej odporny, bo zetknąłem się z chorobą parę lat temu i wiem, jakiej ostrożności wymaga przewóz zmarłych.

– Aaaa co z resztą dzieci? – Pan Tabthwaite szczerze się przestraszył. – Co ze mną?

– Jeśli to dla ciebie to samo, panie, bądź tak łaskaw i obserwuj je, żeby wykryć symptomy. Skłonność do buntu to jeden z wczesnych objawów. Powoduje ją gorączka mózgu.

– To cały Charlie! Ile razy złamałem kij na jego grzbiecie! A raz musiałem tak go palnąć, że padł bez czucia.

Jonathan zamilkł. Jakąż mam ochotę złamać teraz kij na twoim grzbiecie i pozbawić cię przytomności.

Pan Tabthwaite widocznie wyczuł jego nastrój, bo nieświadomie cofnął się o maleńki kroczek. Ręce trzymające stosik świetnie podrobionych, oficjalnych papierów zadrżały.

– Problem z biciem zainfekowanego dziecka – myślał głośno Jonathan – polega na tym, że choroba podnosi się ze skóry chorego i atakuje tych, którzy są najbliżej. Nie rekomendujemy zatem bicia zainfekowanych dzieci, jako sposobu utrzymania dyscypliny, chyba że ktoś pragnie rychłej śmierci. Niepotrzebny wysiłek, jak przy okładaniu kijem nieposłusznego dziecka, może rozbudzić uśpioną chorobę. Krótko

mówiąc, bijąc dziecko, narażasz swoje zdrowie, a choroba dorosłych zabija znacznie szybciej niż dzieci. A zatem na którym piętrze znajdę Charlemagne'a?

Minęła chwila, zanim mężczyzna wydobył z siebie głos.

– Trzecim – wycharczał Tabthwaite. Twarz miał szarą. – Schody są tam. Jest rudy. I ma piegi.

Jonathan skinął krótko głową, po czym zwrócił się do Tommy:

– Panno Burns, zechciej zostać tutaj i dokończyć nasze badanie, a ja pójdę po obiekt.

– Oczywiście, panie – odparła cichutko, ze spuszczonymi oczami.

Nie pamiętał, żeby Tommy zachowywała się tak potulnie.

Piętnaście minut, jak uzgodnili. Będzie go zabawiać piętnaście minut, po czym wróci do powozu.

Z triumfalnym śpiewem w duszy Jonathan ruszył do schodów.

Wewnątrz panował głośny zgiełk; ruch oszałamiał, potem wywoływał rodzaj transu, a na koniec przyprawiał o otępienie. Duszące powietrze było przesycone kurzem i smrodem smaru z maszynerii. Dziesiątki, jeśli nie setki dzieci, a także mężczyzn i kobiet poruszały się jak pracowite pszczółki pomiędzy niekończącymi się rzędami obracających się ram. Wrzeciona wirowały, rozmazując się w oczach, podczas gdy ramy podjeżdżały do siebie na żelaznych szynach, a potem znowu rozjeżdżały, jak w nieustającym, niezwykłym tańcu. W ten oto sposób bawełna stawała się przędzą, a ta z kolei utkaną materią i dzięki temu wszyscy w Anglii mogli zaopatrzyć się w obrusy, bieliznę i prześcieradła.

Jak on tu trafił? Dorosły mężczyzna, który śpiewał *Bee, bee, czarna owco*, a teraz miał wykraść dziecko z hałaśliwego młyna? Odpowiedź brzmiała: Tommy.

Jonathan wstrzymał oddech, kiedy jedno z dzieci skoczyło naprzód i szybko związało dwa kawałki zerwanej na skutek rozciągania i skręcania nici. Zadanie wymagające zapierającej dech w piersi zręczności. Chwila nieuwagi i zmiażdżyłyby go koła albo poruszające się ramy.

Dziecko miało płomiennie rude włosy.

Nikt z robotników nie zauważył jeszcze Jonathana; wielu z nich, wbrew niebezpieczeństwu, odwracało wzrok od pracy.

Chłopiec podniósł głowę, zobaczył go i pomknął w jego stronę, jak koliber w locie między częściami machiny i robotnikami.

Położył ręce na biodrach.

– Ty jesteś pan Przyjaciel? Tommy cię przysłała?

– Charlie! – krzyknął mężczyzna po drugiej stronie.

– Ano tak, Charlie. Musimy iść. Szybko. – Jonathan chwycił go za rękę i pociągnął w stronę, skąd przyszedł.

Byli w połowie pierwszych schodów, kiedy dobiegło ich kolejne stłumione: Charlie!

– Tutaj, szefie. – Charlie poprowadził go długim korytarzem, na którego końcu znajdowały się wąskie drewniane drzwi. Prowadzące, zapewne, nad rzekę.

Jonathan rzucił się do klamki. Niech to diabli. Przeklęte drzwi były zamknięte.

– Odsuń się, Charlie.

Jonathan wciągnął powietrze, wziął zamach nogą i kopnął z całej siły.

Drewno trzasnęło, obaj odskoczyli, krzywiąc się. Jonathan pchnął. Drzwi się poddały.

Charlie zawył z zachwytu.

– A teraz biegiem.

Obszar porośnięty trawą i krzewami pomiędzy nimi a młynem zdawał się rozciągać i rozpościerać niczym Ocean Atlantycki. Chłopiec był szybki, ale miał krótkie nogi i na każdy krok Jonathana robił cztery czy pięć. W pewnej chwili zatrzymał się i wyrwał rękę.

Wtedy Jonathan spostrzegł obtartą skórę na jego nadgarstku.

Na obu.

W tym samym miejscu co blizny Tommy.

Żołądek ścisnął mu się nieprzyjemnie pod wpływem podejrzenia.

– Muszę się wysikać. Teraz. – Charlie wsparł obie dłonie na biodrach i łypnął z ukosa na Jonathana. Miał jakieś cztery stopy wzrostu, był zadziorny i czupurny jak bojowy kogut.

O… Chryste. Jonathan odwrócił głowę.

– Dobrze, w porządku. Widzisz jakiś krzak? Musimy się śpieszyć, Charlie.

Charlie wskazał nędzny krzak głogu bliżej rzeki i Jonathan spojrzał ponownie w drugą stronę.

Chłopiec rozpiął spodnie, ustawił się odpowiednio i wycelował w krzak.

– Charlie… skąd się wzięły te blizny na twoich nadgarstkach?

– Skuli mnie, no nie? Bransoletki na kostkach i nadgarstkach.

Jonathanowi zaschło w gardle. Usiłował mówić normalnym tonem.

– Wszystkich zakuwają?

– Tylko tych, co uciekają – rzucił Charlie obojętnie. – Za bramę wylazłem szybko, jak przyjechał wóz i ją otworzyli; byłem na drodze, jak mnie złapali. Za krótkie nogi. – Spojrzał w dół z ponurą rezygnacją. – Będą dłuższe niż twoje, jak

urosnę. Będę wyższy od ciebie. Odlałem się! – oznajmił w końcu i odwrócił się, zapinając spodnie.

– Doskonale. Możesz biegać, Charlie? Czy chcesz, żebym cię poniósł?

– Poniósł! Mam nogi, no nie? – odparł chłopak z urazą. – Nie jestem dzieckiem, głupolu. Pójdę sam. A ty śmierdzisz!

– Ty śmierdzisz – stwierdził Jonathan.

Cóż, nie był z siebie dumny. To był odruch.

– Ty śmierdzisz gorzej – parsknął Charlie.

Jonathan wiedział z doświadczenia, że taki rodzaj dyskusji może się ciągnąć w nieskończoność.

– Szkoda, że chcesz sam biegać, Charlie. Mógłbym cię powieźć na grzbiecie, jak… koń.

Charlie podniósł głowę; w otwartych na całą szerokość oczach widniało niedowierzanie. A potem potrząsnął głową energicznie.

– Bedlam – mruknął, wyciągając ręce przed siebie, jakby zwracał się do niewidzialnej publiczności, i zerkając na Jonathana z ukosa. – Powinni cię wsadzić z tymi pomyleńcami. Jak koń! Dorosły mężczyzna biega jak koń! – parsknął. – Dosyć tego.

Jonathan wzruszył ramionami.

Ruszyli dalej. Charlie robił cztery kroki na jeden Jonathana. Liczył je. Nie potrafił powiedzieć, co było głośniejsze – bicie jego serca czy odgłos kroków.

– Będziesz… galopować, tak? – powiedział Charlie starannie obojętnym tonem.

– Będę galopować.

– A mogę cię kopać? I wołać: wiśta! Wiooo!

– Nie. Nie możesz wrzeszczeć. A jak mnie kopniesz, zrzucę cię natychmiast.

Ale dłonie zdążyły mu się spocić, kiedy Charlie oznajmił w końcu łaskawie:

– Dobrze. Może spróbuję.

Jonathan ukucnął.

– Obejmij mnie luźno za szyję. Przytrzymam cię pod kolanami. Teraz!

Ku jego zdumieniu dzieciak zachował się, jak mu kazano, prawdopodobnie zbyt zdziwiony, żeby zrobić cokolwiek innego.

Jonathan ruszył biegiem.

Charlie, jak należało się spodziewać, wrzasnął, zachwycony.

– Powiedziałem: żadnych wrzasków.

Dobry Boże, mówił tonem swojego ojca.

Gnał jak spłoszony przez szerszenia koń wyścigowy z woniejącym nieciekawie, zachwyconym i przerażonym chłopcem na plecach i wkrótce powóz oraz – och,

słodka, litościwa Mario – Tommy znalazły się w polu widzenia. Tommy podskakiwała niespokojnie, jakby zachęcając ich do szybszego biegu.

Na ich widok parsknęła śmiechem.

O mało na nią nie warknął, ale zakręcił się i wpakował Charliego do powozu, chwycił Tommy w pasie i podniósł ją, zanim pisnęła na znak sprzeciwu, po czym sam wskoczył na siedzenie.

Uderzył pięścią w sufit, woźnica wyszedł zza drzew i znowu powóz potoczył się drogą.

Teraz to Jonathan wrzasnął z radości.

5

*T*ommy! – Charlie rzucił się w jej ramiona, a ona wtuliła twarz w jego brudne włosy.

W chwili, gdy Jonathan zobaczył wyraz ich twarzy, uświadomił sobie, że z radością ukradłby dla niej klejnoty koronne.

Przerażająca myśl.

Kiedy Tommy w końcu go wypuściła, Charlie rozparł się na miękkim siedzeniu i zaczął machać nogami. Kopnął Jonathana w but.

Jonathan łypnął na chłopca ponuro.

Charlie wyszczerzył tylko zęby w odpowiedzi i, rzecz jasna, powtórzył zaczepkę.

– Jeśli znowu mnie kopniesz, Charlie, nie zawaham się i kopnę cię w rewanżu.

Charlie zaprzestał na chwilę ćwiczeń z kończynami dolnymi; wbił zafascynowane spojrzenie wielkich oczu w twarz Jonathana.

– Nie zawa-am się i kopnę cię w rywanszu – powtórzył, bezczelnie przedrzeźniając Jonathana.

Jonathan zamknął oczy i powoli, metodycznie, uderzył tyłem głowy w oparcie. Trzykroć.

– Na twoim miejscu nie zamykałabym oczu na zbyt długo. Różne pomysły przychodzą im do głowy – ostrzegła Tommy.

Otworzył oczy. Spojrzał na nią wzrokiem tak opanowanym i pozbawionym wyrazu, że z trudem stłumiła uśmiech.

– Do Londynu krótka droga – pocieszyła go. – Znam jedną piosenkę, która umili nam czas. *Bee bee czarna owco*.

– Chcesz, żebym ciebie kopnął? – zapytał łagodnie.

Uśmiechnęła się do niego promiennie.

Zwrócił znowu uwagę na chłopca. Charlie wciąż wpatrywał się w niego, nie zmrużywszy oka – z fascynacją, ale i odrobinę nieśmiało.

– Powiesz znowu to, co powiedziałeś?

– Nie zawaham się i kopnę cię w rewanżu? Bo się nie zawaham.

Charlie powtórzył to, poruszając bezgłośnie ustami. Zabawnie było patrzeć, jak chłopiec usiłuje dostosować swoją wymowę do wymowy angielskich wyższych sfer, której język musiał dla niego brzmieć jak chiński albo norweski.

Charlie spróbował jeszcze raz.

– Bardzo dobrze! – pochwalił Jonathan z przekonaniem.

Chłopiec usiłował nie podskakiwać na miejscu z zadowolenia.

– Nauczysz mnie tak śmiesznie gadać?

– To znaczy, jak dżentelmen?

– Pewnie – odparł Charlie obojętnie. Jakby mówił: „skoro masz ochotę tak to nazwać”. Ale mały chłopiec nie starał się już ukryć swojej łapczywości. Jego bystre oczy skrzata szacowały ubranie Jonathana, nie zastanawiając się nad jego wartością, jak zrobiłby złodziej, ale z rodzącym się, głębokim podziwem. Porównywał je, bez wątpienia. Ze swoim.

– Nie tak łatwo zostaje się dżentelmenem, panie Charlemagne. – Zerknął ostrzegawczo na Tommy na wypadek, gdyby chciała wtrącić swoje trzy grosze na temat tego „nie tak łatwo”.

Zamiast kopać Jonathana, Charlie zaczął rytmicznie tłuc piętami w ławę. Każde kopnięcie wibrowało w głowie Jonathana jak uderzenie w skroń.

Jonathan opuścił głowę i spojrzał na chłopca wzrokiem groźnym i uśmierzającym.

Walenie piętami ustało natychmiast. Charlie otworzył szeroko oczy, patrząc niepewnie i zamarł, niczym zając przed lisem.

– Dziękuję, panie Charlemagne – odezwał się surowym tonem Jonathan. – W charakterze pierwszej lekcji muszę ci powiedzieć, że dżentelmeni nie bębnią piętami w ławki. Dżentelmeni także zawsze mówią „dziękuję”, nawet jeśli owo „dziękuję” odnosi się do przerwy z torturach. A takie hałasowanie z pewnością męczyło pozostałych pasażerów.

Charlie prawdopodobnie nie miał pojęcia, o czym, w gruncie rzeczy, mowa, ale najważniejsze chyba do niego dotarło, bo uśmiechnął się rozbrajająco.

– W porządku, szefie.

Jonathan westchnął.

– Dla ciebie, Charlie, jestem pan Przyjaciel.

Ale Charlie więcej nie hałasował. Na szczęście parę sekund później zapadł w drzemkę z nogami na ścianie powozu i głową wciśniętą w udo Tommy.

Owinęła go delikatnie szalem i objęła ramieniem.

– Przerażające spojrzenie kryjesz w swoim arsenale, panie Redmond – pogratulowała mu Tommy przyciszonym głosem. – Myślę, że parę włosów mi od

niego posiwiało.

Jonathan pokręcił głową.

– Potrafią wykończyć człowieka. Zawsze „nie rób tego!”, „przestań!”, „cicho bądź!” albo „mów głośniej!”… to absolutnie anarchiczne stworzenia. Zwierzęta są zdecydowanie sensowniejsze.

– Dzieci?

– A co innego!

Och, jakże Violet by się z niego śmiała.

Ale potem spojrzał na wystającą spod szala chudą nogę Charliego i serce mu się ścisnęło. Tak, wykradłby go ponownie.

W tej chwili spokoju ich nerwy wróciły do kształtu, jaki zwykle przybierały, kiedy nie były napięte do niemożliwości. Tommy wyglądała przez okno, zapewne niewiele widząc. Jonathan, podrzemując, podziwiał ciepły perłowy blask, jaki słońce nadawało jej cerze, jej kocią bródkę i boleśnie miękkie zaokrąglenie policzka.

Usiłował podjąć postanowienie, czy zadać pytanie, które go prześladuje. Ale nie miał wyboru, za bardzo go to dręczyło. Musiał wiedzieć.

– Ma takie blizny na kostkach i nadgarstkach jak u ciebie.

Jej plecy zesztywniały niemal niedostrzegalnie.

– Czy tak? – mówiła obojętnym tonem. Wciąż wyglądała z wyraźnym brakiem zainteresowania przez okno.

Bał się zadać to pytanie. Ale nadeszła odpowiednia chwila.

– Czy zakuto cię w kajdany w fabryce, Tommy? Czy z domu pracy w Bethnal Green sprzedano cię do młyna?

Powoli odwróciła się do niego. Przez chwilę patrzyła mu w oczy, jakby chcąc go uspokoić. A potem powiedziała bardzo ostrożnie i bez wyrazu:

– Tak.

Milczał. Nagle przestał słyszeć cokolwiek, poza wysokim, natarczywym dźwiękiem w uszach. Sądził, że każda cząsteczka jego ciała krzyczy, sprzeciwiając się zakuwaniu w kajdany małej rudowłosej dziewczynki.

Czy ją bito?

Zrobiło mu się niedobrze.

Jej nadgarstki i kostki nawet dzisiaj były takie szczupłe i kruche. Z błyszczącymi obręczami blizn, teraz nieco wyblakłymi. Ale zawsze, zawsze tam pozostaną. Starał się teraz na nie nie patrzeć. Starał się nie przełykać śliny.

Wciągnął powietrze, bo tylko to mógł zrobić.

– Dlaczego to dla ciebie takie ważne, żeby wiedzieć? – odezwała się w ciszy. Jej

głos brzmiał spokojnie.

– Ponieważ nie chciałaś, żebym wiedział.

Powiedział to, zanim pomyślał, co to właściwie znaczy. Ponieważ chcę poznać ciebie.

Za późno. Coraz głębiej i głębiej. Przy niej ulegał jakiemuś szczególnemu rodzajowi grawitacji. Im bardziej się opierał, tym bardziej się zaplątywał i tym mniej się temu opierał.

– Nie dlatego, że nie mogę sobie poradzić z urazem, albo dlatego, że się wstydzę albo dlatego, że tak mi nieopisanie trudno o tym mówić. To z powodu wyrazu na twojej twarzy w tej chwili. Nie zakuwa się chłopców w Eton, co?

Cierpka ironia.

– Nie, naturalnie, że nie – odparł po chwili.

– Więc wyobrażam sobie, że to dla ciebie trudne do pojęcia.

Nie odzywał się przez dłuższą chwilę. Na tyle długo, żeby usłyszała lekką nutkę przekonania o własnej nieomylności we własnym głosie Na tyle długo, żeby cisza zamieniła się w milczącą wymówkę.

– Nie lubię wyobrażać sobie ciebie w kajdanach. Nie – powiedział spokojnie. Cicho.

Miał zimne dłonie; miał wrażenie, że twarz mu zesztywniała. Jakby odpłynęła z niej krew.

Patrzyli na siebie; za oknami przepływał sielski wiejski krajobraz. Nadal nie ścigały ich psy ani wieśniacy z pochodniami i widłami, nic w ogóle. Jak łatwo wykraść dziecko.

Dziecko, którego nikt nie chce. Które można przerzucać jak drewno na opał.

Tak jak kiedyś Tommy.

– Jonathan… – odezwała się nagle cicho. Pochyliła się impulsywnie, kładąc delikatnie rękę na jego kolanie. Dawała mu pociechę po tym, czego się dowiedział. Wiedziała, jak pocieszać i przynosić ulgę, w dużym stopniu dzięki temu, co sama przeszła.

Wciągnął powietrze, a potem westchnął. Skinął głową.

Łagodnie odsunęła dłoń.

Powinni teraz znaleźć się w swoich ramionach. Ale to nie miało się zdarzyć. Byli przyjaciółmi.

– W jaki sposób stamtąd – machnął ręką – doszłaś tutaj?

– Stając się wyjątkową przedstawicielką płci pięknej? Cóż, zakuli mnie po pierwszej ucieczce, bo mnie złapali. Miałam osiem lat. Ale za drugim razem im się nie udało. Uciekłam.

– Jak?

– Zaostrzyłam patyk, który znalazłam na dworze, i schowałam w szwie spódnicy. Ostrzyłam go powoli, o poręcz pryczy. No więc zakuli mnie i cały czas, jak byłam w kajdanach, byłam słodka jak kandyzowany imbir, potulna, a nawet świętoszkowata – naprawdę zrozumiałam swój błąd! Naprawdę zasłużyłam na to, co mnie spotkało! I tak dalej. Byli oczarowani. I po tym, jak ta świnia, majster, rozkuł mnie, gadając o nawróceniu się i takich bzdurach, czekałam tylko na właściwy moment. Kiedy nikt nie będzie patrzył. I ugodziłam go patykiem.

Jonathan był przerażony i zafascynowany historią.

– Na śmierć?

– Chyba nie – odparła obojętnie. – Wbiłam mu go w udo, najwyżej, jak mogłam dosięgnąć. Chyba że jakaś drzazga została mu w ciele i umarł powolną, bolesną śmiercią z powodu zakażenia. – Rozjaśniła się nieco na tę myśl. – Wrzeszczał jak dziewczynka, a ja wybiegłam stamtąd jak pająk. Pamiętam, jak jakieś ręce wyciągały się do mnie; nie trafiły. Teraz znałam teren i chociaż spuścili psy, było za późno. Trzymałam się rzeki. Nigdy mnie już nie ujrzeli. Trochę mnie to kosztowało, ale wróciłam do Londynu – idzie się cały dzień, ale drogi są oznaczone. Miałam przyjaciół, którzy się mną zajęli, i wiedziałam, gdzie ich szukać – w tym samym domu, w którym teraz mieszkam. Trochę zdziczałam, żyłam z dnia na dzień, z tego, co ukradłam, i z tego, co mi dawali litościwi ludzie.

– A jednak nie mówisz tak, jakbyś się wychowała w rynsztoku.

– No, cóż. Nie wychowałam się. Niezupełnie. Moja matka oddała kiedyś poważną przysługę hrabinie Mirabeau i hrabina chciała się odwdzięczyć. Kiedy dowiedziała się, gdzie mieszkam, znalazła mnie i dopilnowała, żebym nabyła trochę ogłady, ogłady, którą próbowała dać mi matka, i trochę wykształcenia. Kochałam czytać, a ona wyszukała mi parę książek. Wiem, że chciałaby, żebym się ustatkowała, ale chyba wyobraża sobie, że będę żyła tak, jak moja matka.

To, czego nie powiedziała głośno, brzmiało: ale ja nie tego chcę. Przywołał obraz małej dziewczynki wpadającej w ramiona mężczyzny na schodach małego domku, o której Tommy wcześniej wspomniała.

– A zatem słynna Thomasina de Ballesteros jest w istocie uciekinierką, ukrywającą się przed sprawiedliwością.

– Wtedy nazywano mnie Thomasina Bell. Owszem, przypuszczam, że jestem. Czy zamierzasz wydać mnie władzom?

– Być może, jeśli będziesz mnie zmuszać do udziału w innych eskapadach jak ta.

Roześmiała się, wiedząc, że kłamie.

Ale nie powiedział nic więcej.

– To wszystko jedno, prawda? – zastanawiała się. – Jeśli jesteś właścicielem fabryki i masz dość pieniędzy, możesz kupować gromady dzieci w domów pracy. Społeczeństwo musi coś z nimi robić, więc czemu nie wykorzystać ich do praktycznych celów? – mówiła z głęboką ironią. – Obiecano mi, że tam się nauczę, jak być prawdziwą damą, kazano mi podpisać papier i dano szylinga na przypieczętowanie umowy. A ta tak zwana umowa dawała im prawo do dysponowania mną, póki nie skończę dwudziestu jeden lat. Miałam osiem lat, kiedy podjęłam tę decyzję.

Myśl o tym była nie do zniesienia.

– To złe. – Jego głos brzmiał szorstko, obco nawet w jego własnych uszach. Takie błahe słowa. Chciał je cofnąć w momencie, kiedy je wypowiedział. – Są prawa…

– Ale nie są wystarczające i nie są przestrzegane. Co chciałbyś z tym zrobić, Jonathanie? Zniszczyć wszystkie fabryki?

– Być może.

Kącik ust drgnął jej w gorzkim uśmiechu.

– To są tego rodzaju sprawy, na które może wpłynąć książę Greyfolk. On może pomóc tworzyć prawa. Ma władzę, pieniądze i pozycję. Ktoś musi to powstrzymać – mówiła cicho, ale z pasją.

Zauważył, że znowu ściska przeklęty medal. Talizman na szczęście?

Uznał, że lepiej jej powiedzieć.

– Tommy… ten dawny młyn jest na sprzedaż i książę Greyfolk chce go kupić. Podobnie jak mój ojciec. Ale radca prawny decyduje, kto go kupi, a kieruje się kryteriami, które znane są tylko jemu. Więc też ojciec stara się zwabić księcia do grupy inwestorów Mercury Club, ponieważ, jak sądzę, ich wspólne bogactwo i wpływy nie mogą nie spowodować, że jakiś tam radca prawny zmieni decyzję – stwierdził Jonathan sucho.

Tommy zamyśliła się.

– Jonathan… ty i ja możemy pomóc tylko jednemu dziecku naraz. Ale ktoś taki jak książę… Z jego władzą, nazwiskiem i pieniędzmi… och, Jonathanie. Tylko sobie wyobraź. A jeśli… jeśli opowiem mu, co się stało z moją matką i co się stało ze mną… z pewnością mnie wysłucha. Byłoby niemądrze się z nim nie spotkać. Pora przestać tchórzyć. – Zerknęła na medal.

Boże, jakże nienawidził słów: ty i ja możemy pomóc tylko jednemu dziecku naraz. Jak bolały go własne ograniczenia i to, że jego ambicje rozbijały się o brak środków. Mógł ją ochronić przed lubieżnymi doktorami i nie dać się utopić w

Ouse. Ale nie mógł zmienić dla niej świata, a ludzie tacy jak książę i jego ojciec… prawie na pewno mieli taką władzę.

I prawdopodobnie z niej nie skorzystają.

– Jesteś najdzielniejszą osobą, jaką spotkałem w życiu – powiedział cicho, z uczuciem.

Otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się, na jej policzki wystąpił śliczny rumieniec. Odwróciła się, onieśmielona, przyglądając się sobie w nowym świetle.

– A jeśli będziesz rozmawiać z księciem… mam nadzieję, że spełnią się wszystkie twoje oczekiwania.

– Pójdę jutro – oznajmiła cicho. Zauważył, że jej palce, trzymające medal, zbielały z wysiłku.

Charlie, leżący obok Tommy, mruknął coś we śnie, przekręcił się na bok i puścił bąka.

Jonathan westchnął.

– Musiałaś ratować akurat takiego skunksa?

– Ty z pewnością zawsze pachniesz krochmalem i mydłem, i olejkiem pimentowym.

Ta wyliczanka jego zapachów wprawiła ich w chwilę kłopotliwego milczenia.

– Pominęłaś: i posiadasz pewien szczególny męski zapach właściwy tylko tobie.

Przewróciła oczami, ale rumieniec się pogłębił.

Myślała o nim. To było jasne. Naturalnie, że tak. Ponieważ on myślał o niej. A ściślej mówiąc, działał na jej zmysły. A w nocy, zapewne w ciemności, kiedy każde z nich leżało w swoim łóżku, myślała o tym, jak on pachnie, jakie wrażenie wywołuje dotyk jego włosów oraz o koniakowo-satynowym – koniak i satyna! – smaku jego ust. Tak samo, jak on przeżywał wciąż na nowo dotyk jej skóry, jej jedwabistość i miękkość pod palcami i to, jak jej ciało wtulało się w niego, jaka była zwinna, dzika, namiętna, nienasycona, kiedy jej dotykał. Nie zakosztował dość jej dotyku, w każdym razie, nie poza wyobraźnią.

Nie wiedział, co ona robi, ale wiedział, jak sam się zachowuje, myśląc o niej w nocy.

Podczas gdy powinien liczyć jasnowłose dziedziczki zamiast owiec, przygotowując się do wyboru życiowej partnerki.

Milczenie między nimi zmieniło charakter. Był w nim jakiś niepokój. Ujawnienie tajemnicy jej blizn, tej nieopowiedzianej części jej historii, wprowadziło między nimi napięcie.

Wynikające także z tego, że ona znała jego zapach i co się z tym łączyło. Ale o tym nie mieli zamiaru rozprawiać.

Ponieważ byli przyjaciółmi.

– Jonathan… wiem, że to dla ciebie nowe i trudno ci tego słuchać. Ale to wszystko zdarzyło się dawno temu i teraz jest dla mnie prawie jak sen. Pod wieloma względami to prawdziwe błogosławieństwo. Ponieważ z tego powodu już się niczego naprawdę nie boję, myślę, że niewielu rzeczy nie mogę dokonać i że jestem w stanie zrobić wszystko, co trzeba, żeby coś osiągnąć.

Siedziała wyprostowana, uśmiechając się pogodnie.

Jonathan spojrzał na nią uważnie i zrozumiał: ona w to wierzy. Ona naprawdę w to wierzy.

Och, Tommy. Boisz się tylu rzeczy i nawet o tym nie wiesz.

Dziwnie się czuł z tą wiedzą o niej. Tommy była taka sprytna, tak dobrze znała życie, była taka cyniczna. Czasami ogromnie ją podziwiał. Ale w głębi duszy pozostała niewinna, mówił o tym wyraz jej twarzy, kiedy muskał ją palcami, jej żar i tęsknota, zdumienie i strach, że jest jednak człowiekiem i może się w kimś zagubić – i zostać zraniona. Wyraz jej twarzy, kiedy pytała o ojca – jej niepewność, niezaspokojone pragnienie, żeby do kogoś należeć. Była najdzielniejszą istotą, jaką znał, ale całego morza ludzi – takich, jak książę Greyfolk albo jego ojciec – nie znała i nie rozumiała. A powinna się ich bać. Bo posiadali bezosobową moc niszczenia, niczym góry lodowe. Nie miała o tym wszystkim pojęcia, bo nic w życiu nie przygotowało jej na spotkanie z nimi.

– Zatem, jak sądzę, lepiej dla nas wszystkich, że chcesz ratować dzieci, a nie na przykład podbić Wyspy Brytyjskie i ustanowić despotyczne rządy.

Powiedział to jednak tak łagodnie, że zyskał tylko lekko podejrzliwe zmarszczenie brwi.

– A skąd wiesz, że tego nie pragnę?

Parsknął.

Powstało w nim jednak straszliwe podejrzenie, że gdyby wyznaczyła sobie taki cel, pomógłby jej go osiągnąć.

6

*J*onathan zerknął w okno firmy Klaus Liebman & Co., upewniając się, że żaden Diament Czystej Wody nie siedzi w fotelu, pozując.

Potem pchnął drzwi i dzwonek zabrzęczał wesoło.

– Klaus! Przyprowadziłem ci pomocnika.

Klaus odwrócił się, zobaczył Charliego, rozpromienił się i wyrzucił z siebie potok niemieckich słów przepojonych entuzjazmem. Charlie patrzył na niego rozszerzonymi, zafascynowanymi oczami. Jedyne słowo, które Jonathan zrozumiał, brzmiało: *kinder*.

– On nie mówi po niemiecku, Klaus – stwierdził Jonathan cierpko. – To angielskie dziecko. I ma na imię Charlie.

– Proszę wybaczyć. Miło mi cię poznać, Charlie. – Skłonił się.

– Możesz się ukłonić panu Liebmanowi.

Chłopiec ukłonił się, choć z pewną nonszalancją. Czyli, jak odkrył Jonathan, w sposób, w jaki w ogóle wydawał się podchodzić do życia.

– Potrafisz się posługiwać miotłą, Charlie? – zapytał Jonathan.

– Czy ja potrafię się posługiwać miotłą? – parsknął w stronę niewidzialnej publiczności. – Zamiatałem pod kołami, szefie.

– Charlie – oznajmił twardo Jonathan. – Dżentelmen odpowiada na pytania. Spróbujmy jeszcze raz. Umiesz używać miotły?

– A i owszem. Umiem używać miotły. – Nadal bezczelnie, ale przynajmniej patrzył im w oczy.

– Dziękuję. Doskonale. Myślisz, że dasz sobie radę z herbatą, plackiem i kawałkiem indyczki na obiad?

Chłopiec drgnął, jakby go ktoś kolnął gorącym pogrzebaczem. Otworzył szeroko oczy, wodząc wzrokiem od Klausa do Jonathana.

A potem, ku ich zdumieniu, jego twarz się skurczyła i chłopiec wybuchnął gorzkimi łzami.

Jonathan wymienił niespokojne spojrzenie z Klausem, który wzruszył niepewnie ramionami.

Ach. Żałował, że Tommy tu nie ma.

Jonathan przyklęknął przy chłopcu.

– Charlie, Charlie, spójrz na mnie. O co chodzi? Co się stało? Możesz mi powiedzieć.

Charlie spojrzał na niego żałośnie mokrymi oczami.

– Nie kpij ze mnie, szefie – powiedział błagalnie. – Będzie w porządku. Owsiane herbatniki są w porządku. Nie musisz mówić całej reszty. Zostanę, będę pracował i będę grzeczny.

– Kpić z ciebie? – Jonathan nie posiadał się ze zdumienia. – Charlie, powiedz mi, co masz na myśli.

– Nie będzie placka ani herbaty.

– Będzie – oświadczył stanowczo Jonathan. – Ale dlaczego tak mówisz?

– Powiedzieli nam, że będzie, zanim nas zabrali do młyna. Tylko owsiane herbatniki, szefie, i trochę mleka. Nigdy herbaty. Nigdy masła. Nigdy nic innego. Nie kpij ze mnie, szefie. Będę jadł owsiane herbatniki.

Och, Boże. Kłamstwa, morza kłamstw użyto, żeby wykorzystać nieszczęsne dzieciaki.

Jonathan spojrzał na chłopca i wskazał brodą. Klaus obrócił się na pięcie i zniknął w pokoju na zapleczu, gdzie trzymali jedzenie.

Jonathan przyglądał się Charliemu. Znowu odczuł, jak zawrót głowy, świadomość, jak niebezpiecznym, w gruncie rzeczy, okresem życia jest dzieciństwo. A ta ufność… to był dar. W pewien sposób dziecinna ufność niosła błogosławieństwo każdemu, kto został nią obdarzony.

Jakąż ohydną zbrodnią było jej nadużycie.

Ty i ja możemy pomóc tylko jednemu dziecku naraz. Nienawidził tych słów.

Ale Tommy miała rację. Jedno naraz to było po prostu za mało.

– Charlie… posłuchaj. Będziesz tu pracował i spał, ale we własnym wygodnym łóżku. Dostaniesz trzy posiłki dziennie i więcej. Dostaniesz chleb, ser i herbatę i od czasu do czasu ciastka. Będziesz słuchał Klausa, wypełniał jego polecenia, nauczysz się być dżentelmenem i nigdy nie zaznasz głodu. I nauczysz się grać w krykieta. – Jonathan dodał to pod wpływem nagłego odruchu. Charlie był szybki, a czyż nie byłoby zabawnie nauczyć pewnego siebie, małego chłopca gry w krykieta? – Wierzysz mi? Nigdy cię nie okłamię.

Jonathan miał nadzieję, że to prawda. W każdym razie to nigdy nie będzie duże kłamstwo. Ważne kłamstwo.

Uświadomił sobie, że wszystko, co powiedział, jest równoznaczne ze świętą przysięgą. Nie mógł powiedzieć temu chłopcu czegoś podobnego i nie sprawić, że

ten stanie się częścią jego życia.

Ta myśl, jak stwierdził, nie była mu niemiła.

Klaus wrócił z herbatą oraz serem i chlebem na tacy.

– Zjemy coś, dobrze? Charlie, i poznamy się lepiej. A potem ci pokażę, jak możesz mi tutaj pomagać.

Jonathan podniósł pytająco brwi, patrząc na Charliego.

Charlie skinął głową. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i beknął. I zachichotał.

Jonathan westchnął.

– Jest twój, Klaus.

Dziwne, ale podejście do frontowych drzwi budynku kosztowało ją więcej nerwów niż prześlizgiwanie się przez żeliwną furtkę o północy, zakradanie się od tyłu i śledzenie księcia przez drzwi balkonowe.

Dłonie Tommy w rękawiczkach były zimne jak lód. Poruszyła się energicznie, żeby dodać sobie odwagi. Wciągnęła i wypuściła powietrze, a potem to powtórzyła.

Wyprostowała się.

Można by pomyśleć, że spotkać się po raz pierwszy z własnym ojcem, to jak dokonać nie byle jakiego wyczynu.

Jeśli on zechce się z nią spotkać.

Przypuszczała, że jej nazwisko – które poda kamerdynerowi – jeśli już nic innego, wzbudzi przynajmniej ciekawość księcia.

Patrzyła, jak we śnie, na własną rękę, która podniosła się i chwyciła za kołatkę.

I obserwowała, jak we śnie, siebie stojącą pod drzwiami; siebie, która zamiast odwrócić się i zbiec po schodach po użyciu kołatki, czeka na otwarcie drzwi.

Podskoczyła lekko, kiedy pchnięto drzwi od środka.

– Czym mogę służyć, panienko?

Kamerdyner był wysokim, siwym, opanowanym mężczyzną o plecach sztywnych jak maszt statku. Objął Tommy szybkim, fachowym spojrzeniem i najwyraźniej nie potrafił w żaden sposób jej umiejscowić. Dobrze ubrana, ale bez ostentacji. Młoda, ale nie należała do wyższych sfer, których przedstawicieli rozpoznawał natychmiast.

Odchrząknęła.

– Czy mogę rozmawiać z jego wysokością, księciem Greyfolk?

Powieka mu nie drgnęła.

– A kogo mam zapowiedzieć?

Nie miała wizytówki i to mówiło kamerdynerowi więcej o jej pozycji niż ubranie.

– Proszę mu powiedzieć, że przyszła panna Thomasina de Ballesteros. I że moją matką była Carolina de Ballesteros.

– Proszę tu poczekać.

Stała na schodach i nie mogła zdecydować, czego bardziej chce: żeby ją wpuszczono do domu czy też żeby ją odprawiono.

Nie dano jej wyboru.

– Proszę pójść za mną, panno de Ballesteros.

Znalazła się wewnątrz domu, usłyszała trzask zamykanych drzwi.

Miała wrażenie, że jej głowa unosi się nad ciałem, kiedy kamerdyner prowadził ją przez dom. Pachniał bogactwem, woskowymi świecami, olejem lnianym i rozrzutnie palonym drewnem. Światło odbijało się od wypolerowanych mebli, które wyglądały, jakby nikt ich nie używał. W domu było zapewne wiele takich salonów jak ten.

Wykręcała szyję, kiedy mijali pokój urządzony z niezwykłym przepychem, w którym podłogę pokrywał szarobłękitny piękny dywan. Nad białym marmurowym kominkiem, który wznosił się niemal do wysokiego sufitu, wisiał portret księcia. Szczupły, ciemnowłosy, musiał tak wyglądać w czasach, kiedy jej matka była jego kochanką. Jego twarz wyrażała dumne zadowolenie, podczas gdy piękna jasnowłosa kobieta złożyła rękę na jego ramieniu, a dwoje jasnowłosych dzieci, chłopiec i dziewczynka, tuliło się do jego nóg.

Potknęła się o własne stopy. Wyprostowała się, kiedy kamerdyner zerknął na nią, unosząc brew.

Z sercem w gardle wciąż wyciągała głowę w stronę portretu, idąc po marmurowych schodach na górę.

– Panna Thomasina de Ballesteros, wasza wysokość. – Kamerdyner skłonił się nisko, wprowadzając ją do pokoju.

Posadzono ją za biurkiem ogromnym jak okręt. Mogła się w nim przejrzeć, a to, co zobaczyła, kazało jej się wyprostować.

Minęła chwila, zanim przypomniała sobie, że powinna dygnąć.

Wstał, jak się wydawało, ze swobodą i ukłonił się nieznacznie. Robił to z wyraźną niechęcią, jakby miał niewielki zapas ukłonów i nie chciał ich roztrwonić.

– Proszę usiąść, panno… de Ballesteros.

Po raz pierwszy usłyszała jego głos. Jego hiszpański – twarde, wyraziste „r” – był nienaganny. Służył w Hiszpanii. Ciekawa była, czy z jej matką mówił po hiszpańsku i serce jej drgnęło na tę myśl.

Głos mojego ojca jest bardzo rozkazujący, lekko ochrypły. No wiesz, styczność z prochem strzelniczym na wojnie. Dostał medal za oddaną służbę. Wyobrażała sobie, jak opowiada o tym przyjaciołom i znajomym.

Myślami wróciła ponownie do portretu na dole.

Cały czas miała rodzinę. Inną, kompletną rodzinę. Miała rodzeństwo.

Wpatrywała się w niego zachłannie. Wydawało się, że to niemożliwe, żeby był prawdziwy – że już nie będzie musiała – ani nie będzie potrafiła – po prostu go sobie wyobrażać. Naprawdę miał zielone oczy. Blade, nie takie jak jej, ale zawsze. Był twardym, przystojnym mężczyzną o ostrych rysach twarzy – broda, kości policzkowe, nos, usta… Jakby życie starło z nich wszelką miękkość, jaką kiedyś mógł się odznaczać.

A głos brzmiał równie bezosobowo jak zimny wiatr, przed którym usiłowała się chronić na dworze.

Usiadła powoli i z wdziękiem. Ubrała się starannie, w suknię ze skromnym dekoltem, przykrytą brązową pelisą. Strój podkreślał jej cerę.

Moja córka jest śliczna, wyobraziła sobie, że mógłby powiedzieć jakiemuś znajomemu. Dobrze jej w brązie. Ma moje oczy, ale nos matki.

Przyglądał się jej poprzez lustrzaną powierzchnię ogromnego biurka. Praktycznie się nie poruszał. To nie człowiek, który się wierci, uznała Tommy. Bardzo nad sobą panuje, ten mój ojciec. Ocenia sytuację, a potem…

A potem zauważyła, że kostki dłoni, które zaciskał na blacie biurka, całkiem mu zbielały.

Wolno podniosła głowę, patrząc mu w twarz.

Bał się jej.

– Mówiono mi, że mam twoje oczy – odezwała się.

Wydawało się, że w tym momencie przestał oddychać.

Powoli na jego twarz wypłynął gniewny rumieniec.

– Czego chcesz? – Jego głos był beznamiętny i zimny.

Mocniej zacisnęła ręce na kolanach.

– Dała mi imię po tobie. Nazywam się Thomasina. – Mówiła teraz z lekką nutką rozpaczy.

– Czego chcesz?

– Chciałam cię zobaczyć.

Cisza spowodowała, że zaczęło się jej kotłować w żołądku. Miał wgłębienie – dołeczek w brodzie. Nagle uderzyło ją to zdumiewające odkrycie, że cokolwiek mogło wyżłobić wgłębienie w jego granitowej twarzy.

Wahadło zegara za jego plecami kołysało się jednostajnie, doprowadzając ją do

szału. Podkreślając ciszę kolejnych paru minut.

– Słyszałem twoje imię, panno de Ballesteros. Jesteś, jak rozumiem, jakiegoś rodzaju kurtyzaną.

Szok zamroczył ją przez chwilę. Przez chwilę nie czuła własnych członków. Poczuła, jak jej kark i policzki oblewa gorąco.

– Obawiam się, że źle cię poinformowano.

– Czy tak? Jak zatem radzisz sobie w życiu?

– Jestem inwestorką. – Dzięki ci, Jonathanie, za to, że byłam zdolna to powiedzieć.

Uśmiechnął się powoli i nieprzyjemnie.

– A co inwestujesz? Pieniądze od bogatych, łatwowiernych mężczyzn, których szantażujesz albo od których w inny sposób wyłudzasz pieniądze?

Drgnęła silnie. Taką obrał strategię: atak.

A jej strategia polegała na oczarowywaniu. Na jego uśmiech niemal nie była w stanie się uśmiechnąć. Zmroził jej twarz, tak jakby wkroczyła w burzę śnieżną.

– Wiem, że to zaskoczenie, ale przysięgam, że jestem tu tylko dlatego, że chciałam cię zobaczyć. Dorastałam bez ojca, z pewnością rozumiesz moją ciekawość… pragnienie spotkania swojego…

Przekonania się, czy mam twoje oczy, czy brodę, czy słowa łatwo ci przychodzą, czy potrafisz odgiąć kciuk do tyłu, bo ja potrafię, oraz czy to, co jest we mnie dobre, dostałam od ciebie. I chciałam poczuć, że mam kotwicę, która łączy mnie z tym światem – rodzinę.

Nigdy w życiu się nie jąkała. Zamienił ją w dziecko. Wchodząc do jego gabinetu, zapomniała, kim jest. Taką miał władzę.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

Wtedy opuściło ją opanowanie. Odezwała się przez zaciśnięte zęby.

– Zostawiłeś ją. Zostawiłeś nas. Była pełna miłości i życia i nauczyła mnie nie myśleć o tobie źle. Kochałam ją. Zachorowała i zmarła w nędzy, i zostawiła mnie samą, kiedy miałam siedem lat.

Równie dobrze mogłaby krzyczeć podczas burzy. Wydawało się, że słowa odbijają się od pancerza, jakim była jego utytułowana wyniosłość.

– Nauczyła cię nie myśleć źle o mnie? Pannę Carolinę de Ballesteros i mnie łączyła umowa handlowa, którą zerwałem, kiedy nie potrzebowałem już jej usług. To, czego cię rzekomo nauczyła, nic mnie nie obchodzi.

Usługi. Jej matka usługiwała temu człowiekowi – z jego punktu widzenia. Jestem wynikiem umowy handlowej, pomyślała z furią.

Nie zamierzał ustąpić. Czuła niemal fizycznie, jak traci siły, wyczerpana, jakby

przez ostatnie dziesięć minut próbowała z całej mocy poruszyć coś nieruchomego. Kontynent, górę lodową. To był człowiek, który przywykł naginać okoliczności do swojej woli. Okoliczności zapewne zwykły ubiegać się o zaszczyt podobania się mu.

Widziałam, jak wyciągasz spodnie z tyłka, ty stary durniu.

Oboje mogli brać udział w zawodach na wytrzymanie spojrzenia.

– Czy jestem do niej podobna?

Wtedy to zobaczyła: wspomnienie, błysk w głębi jego oczu, lekkie skrzywienie, pociemniałą twarz; przypominał sobie.

Ale milczał.

Znowu uśmiechnął się lekceważąco.

– Panno de Ballesteros, jeśli tak się rzeczywiście nazywasz, kim tam naprawdę jesteś…

Nagle wyciągnęła rękę, dłonią do góry. Drgnął ledwie zauważalnie.

Nie cofała ręki. Była dumna, że pozostaje nieruchoma.

Ostrożnie pochylił się i spojrzał uważnie. Potem włożył okulary i spojrzał jeszcze raz.

Widziała, że poznał, że był zaskoczony. Ale jakże nad sobą panował. Albo może jego uczucia straciły elastyczność; nie miał wyboru, jak tylko wrócić do poprzedniego chłodu.

Cofnął się powoli.

– Skąd to wzięłaś?

Same te słowa, wypowiedziane powoli, twardo, brzmiały jak groźba.

– W gruncie rzeczy od ciebie. Bo dałeś go mojej matce, prawda? Bo ją kiedyś kochałeś. Czyż nie tak? Dała mi go, zanim umarła. Powiedziała mi, żebym przyszła do ciebie, jeśli kiedyś…

Przerwała raptownie. Duma powstrzymała ją przed powiedzeniem tego, co zamierzała, ponieważ zrozumiała nagle z całą jasnością, jakby książę to odebrał.

W oczach księcia pojawiał się już cyniczny błysk.

– Panno… jakkolwiek się nazywasz. Nie zwykłem spełniać życzeń wietrzących okazje kurew. Jasne jest, że chcesz pieniędzy. Nigdy żadnych ode mnie nie dostaniesz, bo wiem z doświadczenia, że takie jak ty nie zadowalają się jednorazowym żądaniem. Jeśli spróbujesz czegoś, co będzie choćby lekko pachniało szantażem, zapewniam, że źle się to dla ciebie skończy. Mam szczerą nadzieję ze względu na ciebie, że nie będziesz więcej niepokoić mnie ani mojej rodziny. A teraz oddaj mi moją własność.

Każde z tych słów przyjęła jak policzek. Wietrzące okazję. Kurwy.

Moja rodzina. Jaka duma i poczucie własności brzmiało w tych słowach.

Skóra ją paliła. Jakby dozorca we młynie okładał ją kijem.

Nastąpiła ciężka, niezręczna cisza. Był zadowolony, że ją, w istocie, pokonał. I równie przekonany, że odda mu medal.

– To już do ciebie nie należy. Oddałeś go. Zawsze możesz, oczywiście, próbować mi go odebrać.

Wstała na tyle gwałtownie, że znowu drgnął. Stała, patrząc na niego z góry, na biurko między nimi i zastanawiała się, jak szybko byłby w stanie się na nią rzucić.

Wiedziała, że tego nie zrobi.

– Tak myślałam. Co za ironia, że bohater, który stawiał wrogom czoła na wojnie i zdobył to – pomachała mu medalem przed nosem – tak bardzo się mnie boi.

Dygnęła, odwróciła się i wyszła, ponieważ, Boże dopomóż, nie chciała, żeby ojciec uznał ją za wieśniaczkę.

7

*J*onathan, mój drogi, źle się czujesz?

– Nic mi nie jest, dziękuję za troskę, matko.

– Hm, przez ostatnich parę minut wpatrywałeś się w jedzenie, nie biorąc niczego do ust.

Jonathan drgnął. Gapił się na własny talerz.

Ojciec podniósł głowę, oceniając, na ile zdrowo wygląda, po czym ponownie ją opuścił.

Nagle Jonathan przypomniał sobie, jak ojciec zabierał swoich chłopców na ryby – Jonathana, Lyona, Milesa. Ojciec był taki cierpliwy, wymagający, taki dumny, kiedy Jonathan złapał pierwszego pstrąga. Kiedy uczył się jeździć. Strzelać. Godnie i grzecznie się zachowywać.

Niezależnie od tego, kim się stał Isaiah, Jonathan zdawał sobie sprawę, że wiele z tego, co w nim najlepsze, zawdzięcza ojcu. Zarówno bezpośrednio, jak i pośrednio, był tym, kim był, z powodu ojca. Przyjmował za naturalne, że ma ojca, takiego czy innego oraz całą rodzinę.

A Tommy nie miała nikogo.

Zrozumiał teraz, dlaczego nie był w stanie tknąć jedzenia. Bał się o nią. Ponieważ poprzedniego dnia wybierała się z wizytą do księcia i Jonathan nie mógł znieść, że nie wie, czy do tego doszło.

Mogła, rzecz jasna, nawet teraz, wspominać ciepło w towarzystwie księcia dawne czasy i siedzieć przy stole z jego rodziną, przygarnięta na łono tejże.

Wątpił w to.

Martwił się. Nie tym, że może potraktować księcia zaostrzonym patykiem. Ale że to książę zranił ją metaforycznym ostrym patykiem. Uznał, że to niezwykle prawdopodobne, ponieważ wiedział, jak ludzie pokroju księcia potrafią pojedyncze słowo zamienić w broń. Na przykład „dziwne”.

Dość już zniosła sama.

Włożył sobie jeszcze parę kęsów do ust, przeżuł z pośpiechem, który sprawił, że matka się skrzywiła boleśnie, i wymówił się od stołu szybko i bez wdzięku, zanim

któreś z rodziców zdążyło się odezwać.

Dyszał ciężko, kiedy dotarł do Rezydencji Ludzi o Wątpliwych Profesjach. Zapukał. Dwa razy. Mocno. Czekał.

Nic się nie stało. Przycisnął ucho do drzwi. Nie słyszał żadnego ruchu.

Powtórzył to. Tym razem stukał pięścią, rytmicznie, nieustająco.

Drzwi otworzyły się na oścież.

Stanęła na progu.

– Nie słyszałaś, jak pukam? – zapytał łagodnie.

– Wybacz – odparła beznamiętnie po chwili dziwnego wahania. Patrzyła na niego, ale wcale nie był przekonany, czy go widzi. Kiedy wygiął brwi, ocknęła się i w końcu odwróciła, kierując do mieszkania i zostawiając drzwi otwarte.

Poszedł za nią. Ale ona wciąż milczała. To było puste, ciężkie milczenie, jakby zamieniła się w krzesło albo kamień, coś, co nigdy nie zostało obdarzone darem mowy.

Tak więc on odezwał się pierwszy.

– Czy… spotkałaś się z księciem?

Poruszyła się.

– Tak, spotkałam się z księciem.

Tym samym beznamiętnym, pustym głosem. Poruszała się bardzo ostrożnie, tak jakby przemieszczając się za szybko w którąś stronę, ryzykowała, że urazi świeżą ranę.

Potem się uśmiechnęła. Ale tak, jakby jej twarz była zamarzniętą bryłą śniegu, a usta nie mogły się wygiąć. Profanacja uśmiechu.

To wszystko było wyjątkowo niepokojące.

Nie wiedział, o co i jak zapytać. Jej postawa nie zachęcała do pytań.

– Co się stało? – zapytał cicho. Podejrzewając, że zna już odpowiedź.

– Co się stało… – Skrzywiła usta, otoczyła się ramionami i spojrzała w sufit. Wciągnęła głęboko, a potem wypuściła powietrze. – Cóż, w sposób dość elegancki powiedział mi, co sądzi o kurwach wietrzących okazję, żeby wyciągnąć od kogoś pieniądze. Uznał, że po nie przyszłam, i stwierdził, że nic mi nie da, bo takie jak ja nigdy nie poprzestają na jednym razie. Wyraził szczerą nadzieję, że nie będę więcej nachodzić jego ani jego… rodziny. Jego maniery są doprawdy nienaganne i jest bardzo przystojnym mężczyzną.

Nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Wydawała się budzić do życia; próbowała uśmiechnąć się – tym razem ze smutkiem i niemal jej się udało.

– Pokazałam mu medal. – Otworzyła dłoń, w której leżał jak owad zgnieciony na śmierć. W jej głosie brzmiało lekkie zaciekawienie, prawie rozbawienie. Kpina z samej siebie.

Spojrzała na niego. Gorzki, zrezygnowany półuśmiech ścisnął mu serce. Była w nim klęska i to go przerażało.

Wciąż nie mógł na tyle złapać oddechu, żeby się odezwać. Jak skazaniec podczas łamania kołem.

– Otóż, pokazałam mu medal – powtórzyła cicho, z niedowierzaniem. Zachichotała. Talizman, koło ratunkowe jej dzieciństwa. Stracił moc przez człowieka, który był władny pozbawić znaczenia rzeczy i ludzi tylko z racji tytułu. Który mógł przywłaszczyć sobie rzeczy i ludzi do własnego użytku albo wyrzucić, kiedy tak mu się spodobało. – Ale nie oddałam mu go. – Podniosła dumnie brodę. – Szkoda, że nie widziałeś jego twarzy w tamtej chwili.

Nigdy nie czuł do siebie większej nienawiści za to, że milczy.

A potem na jego oczach jej twarz powoli skurczyła się i zapadła w sobie. Jak róża kwitnąca w drugą stronę.

Podniosła pięść do ust.

Och, Boże. Och, Boże, och…

Wolałby raczej, żeby go obdarto ze skóry i wykąpano w occie, niż oglądać szlochającą kobietę.

Wpadł w panikę, chciał uciec. Tak często płakały z dziwnych powodów i w najdziwniejszych chwilach. I za Boga nie powiedzą dlaczego.

Odwróciła się od niego szybko. Najwyraźniej zamierzała zachować dla siebie, co się stało. Albo wykręcić się półsłówkami.

I nagle to było jak tamten skok z mostu do rzeki. Nie pamiętał, jak przeszedł przez pokój. Pamiętał tylko swoje dłonie na jej ramionach i to, że odwrócił ją twarzą do siebie. Nie patrzyła na niego, nie zdjęła dłoni z oczu; nie chciała, żeby ją widział. Więc otoczył ją ramionami jak zbroją, stwarzając miejsce, gdzie mogła poddać się rozpaczy.

Złapała go za koszulę i wybuchnęła rozpaczliwym, żałosnym, niemal bezdźwięcznym szlochem. Czuł, jakby młot uderzał go w serce.

Przeżyje to, jak wszystko inne. Tego był pewien. Nie chciał myśleć, jak ta rana będzie się goić. Gdzie powstanie blizna, żeby dać jej jeszcze bardziej skuteczną tarczę przed światem.

Ostrożnie przysunął policzek do czubka jej głowy. Jej włosy były zbyt jedwabiste, delikatne i ciepłe, a wąski przedziałek wydawał się zbyt blady i wrażliwy jak ciemiączko. Dowód, że Thomasinę de Ballesteros można złamać.

Stłuc jak jajko. Że jest człowiekiem.

Wściekłość, jaką poczuł wobec księcia, graniczyła z euforią. Była niemal święta.

W ten sposób, jak pomyślał, rodziły się krucjaty. Z tą pewnością co do tego, co jest dobre, a co złe, właściwe i niewłaściwe i potrzebą zemsty.

I wtedy Jonathan zrozumiał ostatecznie – ku własnemu zaskoczeniu i z pewnym fatalistycznym rozbawieniem, że wpadł po uszy.

A więc takie to uczucie. Straszne i cudowne jednocześnie.

A nawet trochę zabawne, biorąc pod uwagę, że ona cię nie kocha.

Uświadomił sobie, że to nie ma znaczenia.

Nigdy nie uświadamiał sobie własnej, wewnętrznej kruchości. Aż do dzisiaj był nie do pokonania. Teraz czuł się równie kruchy jak ona, a zarazem silniejszy niż w najśmielszych marzeniach. Był zakochany.

Oddychała teraz równo.

Przez chwilę po prostu ją obejmował, a ona tuliła się do niego.

To mogłaby być najdoskonalsza chwila jego życia.

Potem pociągnęła głośno nosem i podniosła na niego wzrok. Jej zielone oczy lśniły wyjątkowo w czerwonych obwódkach.

– Nigdy nie płaczę – oznajmiła w końcu zdumiona.

– Przypomnij mi, żebym ci przyniósł słownik – sprawdzisz znaczenie słowa „nigdy”.

Roześmiała się, znowu pociągnęła hałaśliwie nosem i westchnęła, jak się wydawało, ostatecznie.

– Proszę. Musisz się wytrzeć.

Z wahaniem i ulgą zarazem odsunął ją od siebie i wydobył chusteczkę z kieszeni. Jego inicjały pięknie wyhaftowała na niej jego siostra, Violet, która takie rzeczy robiła z niezwykłą starannością: JHR. Podał ją Tommy.

– Dziękuję. – Przyjrzała jej się i przesunęła między palcami, podziwiając jej miękkość. Potem znowu spojrzała na niego. – Och, popatrz na swoją koszulę. Masz mokrą plamę. Drugi raz w krótkim czasie sprawiłam, że jesteś mokry.

– Przypuszczam, że jesteśmy kwita.

Zmarszczyła lekko brwi, zaskoczona. A potem na jej twarzy pojawiały się różne uczucia w miarę, jak zaczęła rozumieć, co ma na myśli. Oburzenie i szok, a w końcu ten jej szelmowski zachwyt. Jej cera przyjęła wspaniały odcień cynobru.

– Jonathan! H.! Redmond! – beształa go oburzonym szeptem. Dzięki temu pokonał jej łzy.

Spojrzała w okno nieco skołowana. Bawiło go to.

– Co oznacza „H”?

– Horatio. Zamierzasz stroić sobie ze mnie żarty?

– Oczywiście – oznajmiła zaskoczona pytaniem. Wytarła oczy i wydmuchała nos, potem wyciągnęła do niego chusteczkę.

– Zachowaj ją. Mam na razie dość mokrej bielizny.

Przez chwilę milczeli, mniej skrępowani niż można by przypuszczać.

– Przepraszam, że zachowałam się jak mała dziewczynka – odezwała się z wahaniem, ściskając chusteczkę w dłoni.

– To się musiało stać pewnego dnia.

Uśmiechnęła się znowu leniwym, leciutko skrzywionym uśmiechem, który działał jak haczyk do łowienia serc.

– Nie zaproponowałam ci nawet herbaty.

– A ja mam do ciebie żal o to, odkąd przyszedłem. Zrobię ją.

– Potrafisz?

Przewrócił oczami.

– Naprawdę myślisz, że jestem taki bezradny?

Znalazł puszkę z herbatą, napełnił czajnik wodą i postawił go na ogniu.

– Wiesz, przestraszyłaś go. Księcia. – Powiedział to ostrożnie. – Jego świat jest bardzo uporządkowany. Przywykł, że wszystko jest tak, jak on chce i… rzucił się na ciebie. Nie był na ciebie przygotowany.

– Jest okrutny. To straszny człowiek. Mówił takie wstrętne rzeczy.

– To możliwe. Ale pamiętaj… każdy z nas różnie okazuje strach. I reaguje na zmiany.

Pomyślał o swoim ojcu.

Jonathan, w gruncie rzeczy, zgadzał się, że książę jest „okrutny” i „straszny”. Ale stwierdził, że nie chce jej całkowicie pozbawiać nadziei.

A w jakiś sposób podzielał jej nadzieję, że pewnego dnia w jej życiu znajdzie się ojciec. Że być może książę ulegnie jakiejś magicznej transformacji.

Niemal słyszał, jak się nad tym zastanawia. I miał świadomość, że jej oczy śledzą każdy jego ruch.

Zbierała siły, żeby mu coś powiedzieć. Czuł to.

– Jonathan?

– Hm?

– Dlaczego dziś przyszedłeś? Czy miałeś jakiś szczególny powód?

Odwrócił się. Miał wrażenie, że wstrzymała oddech.

Ponieważ nie mogłem znieść, że jestem daleko od ciebie. Ponieważ nie mogłem znieść myśli, że cierpisz w samotności. Ponieważ cię kocham. Co by się stało, gdyby to powiedział? Na tę myśl poczuł się tak, jakby pięść zaciskała mu się na

gardle. Pewnie całkiem by ją odstraszył. Czy zniósłby jej litość i utratę przyjaciółki?

Ale jeśli tego nie powie, będzie mógł pozostać w jej życiu i upewnić się, że będzie szczęśliwa i bezpieczna.

Jonathan Redmond, męczennik. Kto by pomyślał. Nikt, ot co.

A jeśli ona też go kocha?

No i kto się boi?

– Przyszedłem, ponieważ sądziłem, że zechcesz usłyszeć, jak dobrze Charlie sobie radzi u Klausa.

Niebiańskie światło opromieniło jej twarz. Oto, czym jest oddychanie.

Jej widok sprawiał mu teraz słodki ból. Czy jest w stanie być z nią naprawdę tylko wtedy, kiedy jej serce krwawi? Czy dowiem się kiedyś, jak smakuje jej pocałunek teraz, kiedy wiem, że ją kocham? Ponieważ z pewnością to będzie mistyczne doznanie? Już nie wspominając o tym, jakie to uczucie być nago z kimś, kogo się kocha.

Wzbudzić w niej pożądanie mógł w każdej chwili, tego był pewien.

Być może… nie zaszkodzi jej o tym przypomnieć… tak odrobinę.

No to jak? Był najkrócej cierpiącym męczennikiem w historii. Ponieważ męczennicy z pewnością nie mają zazwyczaj takich zamiarów.

– Dziękuję, Jonathanie.

– Proszę uprzejmie, moje ty Brzemię.

Roześmiała się, wręczyła mu kapelusz i płaszcz; ich palce się dotknęły. Ta chwila trwała.

Pomyślał: no, dalej, poczuj mój zapach. Krochmal, mydło i olejek pimentowy. Pragnij mnie. Pożądaj.

– Wyjeżdżam do Sussex. Spróbuj nie wypłakać sobie oczu.

I chociaż miał wrażenie, że odrąbuje sobie rękę, wcisnął kapelusz na głowę i wyszedł.

8

Znajoma scena: długi stół nakryty śnieżnobiałym obrusem, zapalone świece pośrodku, rozświetlony kandelabr pod sufitem, służący poruszający się bezszelestnie w niekończącym się tańcu. Kolacja bogaczy.

Isaiah zasiadał u szczytu stoły, jak zwykle, rodzina wokół.

Rodzina z wyjątkiem, rzecz jasna, Lyona.

Hrabia Ardmay po prawej.

Książę Greyfolk po lewej.

Jonathan przebywał w Sussex całe dwa tygodnie, spędzając czas na jeździe konnej, odwiedzinach u rodziny, wieczorami rzucając z niezawodną celnością strzałkami do tarczy w oberży Pod Świnią i Ostem. A w chwilach słabości wędrując na most, z którego skoczyła Tommy, schodząc na brzeg tą samą drogą, którą szli wówczas, wpatrując się w wodę, która omal nie uniosła medalu księcia Greyfolk. Dla tego medalu ryzykowała życie, a ten człowiek pozbył się jej paroma słowami. A teraz Jonathan starał się, bez powodzenia, nie przyglądać księciu. Ciężka, przystojna głowa mężczyzny obracała się w tę i tamtą stronę, obdarzając uwagą różnych stołowników, jakby to było błogosławieństwo, to czerpane z zasobu, który podlegał wyczerpaniu.

– Rozumiem, że zostałeś samodzielnym partnerem w interesie, panie Redmond.

– Tak. Klaus Liebman & Co. Powinieneś zobaczyć nasze talie kart, książę. Są… dziwne.

Zaskoczenie wywołało przy stole chwilę ciszy. Książę przyjrzał mu się z uwagą.

– Czy tak? Sądzę, że młody człowiek powinien posiadać jakieś hobby. Widzę, że siniak się zagoił.

– Siniaki tak się zachowują – odparł wesoło Jonathan. – Wasza wysokość… zastanawiałem się, czy mogę zasięgnąć twojej opinii w sprawie związanej z interesami. W związku z twoim wieloletnim doświadczeniem.

Greyfolk skinął głową, udzielając audiencji.

– Zatrudniliśmy młodego chłopca, żeby zamiatał i biegał na posyłki. Powiedz, wasza wysokość… wiem, że jesteś zainteresowany fabryką w Lancaster. Jakie jest

twoje zdanie na temat wykorzystania dzieci do pracy? Z tego, co wiem, w młynie zatrudnione są przede wszystkim dzieci. I to małe.

– Cóż, to skuteczny system. Całkiem rozsądny z mojego punktu widzenia.

– Skuteczny, wasza wysokość?

Jonathan ściskał nóż wyjątkowo mocno. Trzymałem go za mocno, wyobrażał sobie, jak mówi w rozmowie z Tommy. Wyśliznął się z mojego uścisku i poleciał prosto do jego gardła. Doprawdy nic nie mogłem zrobić.

Książę przechylił głowę.

– Powiedz mi, młody panie Redmond… czy wiesz, jak wygląda działanie młyna wewnątrz?

– Tylko mgliście – skłamał.

– Maszyneria jest tego rodzaju, że tylko małe dzieci są w stanie ją obsługiwać.

– Czy tak? Dziwne, słyszałem, że w niektórych fabrykach zatrudnia się wyłącznie dorosłych. Czy miałeś świadomość, wasza wysokość, że dzieci z domów pracy są okłamywane co do warunków, jakie czekają je w fabryce? W wieku sześciu lat obiecuje im się gwiazdkę z nieba, a potem zmusza do podpisania kontraktu, który skazuje je na niewolnictwo do dwudziestego pierwszego roku życia.

– Otrzymują dniówkę, panie Redmond.

– Och, rzeczywiście. O ile w ogóle im się płaci. Chociaż… – Jonathan zmarszczył brwi – … nie na tyle dużo, żeby kupić słodycze za pensa, z tego, co słyszałem.

– Jonathan. To nie jest konwersacja, którą się prowadzi zwykle przy kolacji – upomniała go delikatnie matka.

– Jonathan, mój drogi, nie przerywaj – zachęciła go Violet. Słuchała ich ze wzrastającą fascynacją. Wyczuwała jakiś podstęp.

Ojciec także słuchał. Wydawał się skupiony i czujny. Ale Jonathan prawie nie zwracał na niego uwagi. Tego wieczoru książę był jego tarczą.

Głos Jonathana był pełen szacunku.

– Cóż, wasza wysokość, masz dzieci, prawda? Słyszałem, że dzieci we młynie są często bite, na przykład za to, że usiądą choćby na chwilę. Że są na nogach ponad dwanaście godzin dziennie. Że ledwie się je karmi. Że są bite i zakuwane w kajdany, jeśli strażnik uzna, że się źle zachowują. Często tracą włosy, wyrwane przez maszyny. Albo życie.

– Jonathan – ostrzegła ponownie matka.

Violet uciszyła ją niecierpliwym machnięciem dłoni. Patrzyła na Jonathana z zachłanną ciekawością i wyraźnym rozradowaniem.

A Jonathan walczył ze sobą, żeby mówić równym, obojętnym głosem.

Powieki księcia były półprzymknięte. Jedną z ulubionych sztuczek Ważnych Osób, kiedy czują się atakowane, jest udawanie nudy. Nic szybciej nie rozbraja plebejusza.

– Jeśli zamierzasz zostać biznesmenem, pewnego dnia zrozumiesz potrzebę maksymalizowania zysku i minimalizowania wydatków, panie Redmond. Tak, jak ja zrozumiałem. A mówiąc wprost, niechciane sieroty to wydajne źródło pracy. A ponieważ wiele z nich pochodzi ze środowisk przestępczych, z najgłębszych nizin społecznych, często powstaje potrzeba, żeby biciem zmusić je do przestrzegania dyscypliny. Gdyby nie wykorzystano ich w dobrym celu, biegałyby dziko po ulicach, zapełniając nasze więzienia i kosztując nas więcej pieniędzy, zamiast przyczyniać się do rozwoju gospodarki kraju. A jeśli tracą życie na skutek nieostrożności, cóż, jest rzeczą normalną, że inne zajmują ich miejsce.

Jonathan udawał, że się nad tym zastanawia.

– Racja, oczywiście. I to nie tylko sieroty pracują w fabryce. Od czasu do czasu niechciane, pochodzące z nieprawego łoża, dzieci możnych i wpływowych ludzi trafiają do domów pracy.

Nagle w ciszy pojawiło się coś groźnego i mrocznego. Książę wpadł w pułapkę i właśnie to sobie uświadamiał.

Wyprostował się powoli na krześle i zmierzył Jonathana zagadkowym, pytającym spojrzeniem. Jakby zobaczył go po raz pierwszy.

Cisza trwała. Nikt nie wiedział, co powiedzieć, ani co się właściwie stało, tylko że padły jakieś znaczące słowa. Jonathanowi wydawało się, że dostrzegł w oczach księcia przebłysk silnych emocji, ale mógł to być jedynie odblask świecy w źrenicach.

Jonathan uśmiechnął się lekko do księcia. Szukał na twarzy księcia drgnienia, napięcia mięśni.

W końcu książę uśmiechnął się tylko nieprzyjemnie. Uśmiechem, który mówił: Cokolwiek powiesz, nigdy mnie nie dosięgniesz. Nigdy nie będziesz księciem.

– Jeśli tak jest w istocie, jakże szczęśliwie się składa, że istnieją domy pracy i młyny dające schronienie tym dzieciom. Inaczej spotkałby je gorszy los na ulicy albo z rąk przedstawicieli prawa.

Jonathan popatrzył na niego. Żaden nie mrugnął.

– Podły drań – powiedział Jonathan z namysłem.

W jadalni rozległo się zbiorowe jęknięcie. Wszystkie głowy przy stole strzeliły do góry, a potem zwróciły się do Jonathana.

A potem, jak za pociągnięciem sznurka, do księcia.

Violet od tygodni nie była taka wesoła. Wyraźnie powinna prosić o trochę kontrowersji, kiedy prosiła o marcepana.

– …mógłby ktoś tak cię nazwać, gdyby akurat sprzeciwiał się zatrudnianiu dzieci w fabrykach. Biorąc pod uwagę, że podejmowane są pewne skromne reformy, spodziewam się, że są ludzie, którzy się im sprzeciwiają. Słyszałem plotki na ten temat.

Nikt nie dał się nabrać.

Jonathan nie chciał nikogo nabierać.

– Jonathan. – Głos ojca brzmiał lodowato. Był to głos człowieka, który miał zapewne nieprzepartą potrzebę obicia najmłodszego syna laską. – Praca dzieci to powszechna praktyka.

Książę wpatrywał się teraz w Jonathana. Płomienie świec tańczyły w jego źrenicach. Efekt wydawał się jak najbardziej stosowny. Jonathan chętnie wysłałby go do piekła.

– Tak? – zapytał książę lodowato. I niemal pobłażliwie.

Jonathan jednak znał i tę taktykę – dzięki ojcu.

– Ale z pewnością pan Bean sprzeda księciu młyn – odezwał się Jonathan pojednawczo. – Kiedy, rzecz jasna, zostaną zaspokojone jego niejasne wymagania.

Pokonam go, Tommy, poprzysiągł w duchu Jonathan. Choćby mnie to zabiło.

– Oczywiście. Dlaczego miałby tego nie zrobić? – powiedział książę ze swobodą. – Nie mogę sobie wyobrazić, żeby dostał lepszą ofertę niż ta ze strony Mercury Club, zwłaszcza że stoi za tym moje nazwisko. Przypuszczam, że jest jedynie niezbyt sprawny i dotąd nie przestudiował propozycji na tyle uważnie, żeby odpowiedzieć. Twój ojciec i ja…

– Mamo? – Głos Violet brzmiał dziwnie. Był zduszony i słaby.

A jednak wszyscy go usłyszeli, tak jak słyszy się obcy dźwięk, dźwięk ostrzegawczy nawet w tłumie.

Wszyscy odwrócili się w jej stronę.

Jej twarz była pozbawiona koloru. Oczy szeroko otwarte i zaszokowane.

– Coś… coś jest nie tak… myślę, że powinniśmy…

Potem jej głowa odchyliła się do tyłu i Violet zsunęła się z krzesła.

Hrabia skoczył do niej, zanim spadła na podłogę. Podniósł ją i jej biała szyja odgięła się w tył na jego silnym przedramieniu.

– Poślijcie po doktora – powiedział z napiętą twarzą.

Posłali po doktora.

Pięć godzin później posłali po proboszcza.

Ponurego i milczącego księcia Greyfolk odprawili do Londynu.

Hrabia Ardmay zajął miejsce w salonie, twarzą do ściany, kładąc na niej jedną rękę, jakby mógł odepchnąć zbliżającą się śmierć.

Jonathan siedział zgarbiony na sofie, z nogami na stołku, wpatrując się w przestrzeń, którą niedawno zajmowała Violet, dziergając coś niebieskiego na drutach. Palił.

Przed paroma godzinami słyszał krzyk siostry; był to przeszywający, straszny dźwięk, chciał upaść na kolana i modlić się albo rozszlochać się, jak mały chłopiec.

Potem zamknięto drzwi i na dole nie słychać było żadnych więcej odgłosów.

Dziecko przyszło na świat za wcześnie, poród był pośladkowy, jak im powiedziano. Kobiety wiedziały więcej, a prawda była raczej niewesoła.

Zjawił się wysoki, jasnowłosy proboszcz, pognał w górę po schodach, gdy tylko się pojawił.

Zabawne. Nigdy nie myślał o siostrze jako osobie religijnej, niezależnie od tego, że wszyscy uczęszczali regularnie do kościoła. Czy miało dla niej znaczenie, że proboszcz trzyma ją za rękę, kiedy umiera?

Miles siedział obok Jonathana, tak samo przygarbiony. Wpatrywał się w Isaiaha, który siedział w wyjątkowo niedbałej, jak na niego, pozie, na krześle naprzeciwko nich. Jonathan marzył, żeby zapytać starszego brata, co myśli. Miles był tym, u którego młodsze rodzeństwo zawsze szukało siły i wsparcia. Miles był człowiekiem, który ożenił się z miłości, z Cynthią, najlepszą przyjaciółką Violet, której jednak nie przyjmowano w ich domu, ponieważ ojciec uważał, że nie spełnia jego oczekiwań co do żony syna.

Jonathan był przekonany, że Miles ma takie samo zdanie o miłości jak on.

A jeśli Violet umrze, czy Lyon wybaczy sobie kiedyś, że go tu nie było?

Czy Jonathan kiedyś sobie wybaczy?

Cera Isaiaha przybrała szary odcień w słabym świetle z kominka, do którego nikt nie dokładał drew. Opuściła go siła życiowa. Nad tym nie mógł sprawować kontroli: czy dziedzic hrabiego zabije jego córkę.

On nas kocha, pomyślał Jonathan. Z pewnością. Dlaczego odczuł to jako odkrycie, nie wiedział. Z pewnością ojciec miał pojęcie o miłości. Kiedyś był zakochany. Czy kochał teraz ich matkę stanowiło tajemnicę znaną tylko rodzicom. A może tylko Isaiahowi.

Czy potrzeba śmierci jednego z dzieci, żeby uświadomić Isaiahowi, że ważna jest tylko miłość?

I wtedy Jonathan przypomniał sobie, co powiedziała tamta okropna Cyganka.

Będzie łamać serca.

Poruszył się na krześle i zamknął oczy.

Chłód przejął całe jego ciało. Och, Boże. Ile serc pęknie ze śmiercią Violet? Nie Violet, pomyślał zacięcie. Lepiej ja niż Violet. Proszę, tylko nie Violet.

Na diabła są takie przepowiednie jak ta? Nagle ogarnęła go bezsilna wściekłość na tę cygańską dziewczynę. Wywoływały tylko nieszczęścia te jej przepowiednie. Po co im to wiedzieć?

Jonathan wypalił już tyle, że było mu niedobrze, ale i tak zapalił kolejne cygaro.

W milczeniu podał jedno Milesowi, który bez słowa je przyjął. A potem wyciągnął cygaro do ojca i ten też je wziął z jego ręki.

Palili w milczeniu.

Hrabia wciąż stał twarzą do ściany. Może się modlił, jak sądził Jonathan. Może przeżywa na nowo każdą chwilę spędzoną z Violet, przesuwając je po kolei przed oczyma, niczym paciorki różańca.

Jonathanowi przyszło w tej chwili słabości do głowy tylko jedno słowo, niczym modlitwa, Tommy – wspomnienie czegoś, co dobre i prawdziwe. Tommy. Słowo oznaczające miłość w jego świecie. Tommy. Przypuszczał, że słowo, które pojawia się w naszych myślach w najmroczniejszych chwilach… cóż, to słowo oznacza miłość. Stąd wiedział. Może to było celem tych strasznych chwil.

Serce utkwiło mu w gardle, kiedy proboszcz zszedł na dół po schodach.

Skoczyli na równe nogi, wszyscy. Hrabia odwrócił się. Jonathan miał zapamiętać wyraz jego twarzy do końca swoich dni.

Adam Sylvaine był niezwykłym człowiekiem. Proboszcz wniósł ze sobą spokój i Jonathan poczuł, że jego strach, gniew, znużenie łagodnieją, stępiają się, jakby obecność tego człowieka miała moc wygładzania splątanych emocji. Skutek modlitwy czy też bezustannej troski o innych?

– Matka i dziecko mają się dobrze – oznajmił natychmiast wielebny Sylvaine. – Masz córkę, lordzie Ardmay. Poród był ciężki i o mało… Musi odpoczywać w łóżku przez jakiś czas. Idź i zobacz…

Ale hrabia zniknął już u szczytu schodów.

Adam Sylvaine popatrzył w ślad za nim z lekkim uśmiechem.

Trzej Redmondowie odetchnęli z ulgą. Ojciec skulił się i schował twarz w dłoniach.

Jonathan zauważył, że kapłan też jest zmęczony. Przyszło mu do głowy, że praca proboszcza – obecność przy zgonach, urodzinach, ślubach, dzielenie cudzych tajemnic i trosk – to zajęcie, które pochwalałaby Tommy. Czynienie dobra, odrobinę dobra, jeden parafianin za każdym razem.

Chciałby zasłużyć na jej podziw. Żeby podziwiała go tak samo jak on ją. Chciał, żeby myślała, że jest dzielny. Chciał być lepszy z jej powodu i dla niej.

Był lepszy z jej powodu. Zmieniła go na zawsze.

Uświadomił sobie, że chwile, kiedy czuł się najbardziej wartościowy były z nią związane. Kiedy pocieszał małego chłopca. Albo trzymał ją w ramionach, kiedy płakała.

Musisz o coś dbać, powiedziała mu Violet ku jego oburzeniu.

A teraz, z nagłą pokorą i jasnością, zrozumiał, co miała na myśli. Dbać można w różnym stopniu. A jego serce kryło głębie, które pozostałyby nieodkryte przez całe życie, gdyby nie Tommy.

– Dziękujemy, że przyszedłeś – zwrócił się do wielebnego Sylvaine. Ktoś musiał to powiedzieć.

– Jeśli pomogłem, cieszę się – odparł ten po prostu.

– Coś do picia? – zapytał Jonathan.

Ojciec podniósł wówczas na niego wzrok, powoli, ostrzegawczo. Nie karmi się i nie poi ludzi, którzy uchodzą za twoich wrogów, mówiło to spojrzenie.

Jonathan nie przejął się tym w najmniejszym stopniu. Adam Sylvaine mógł być kuzynem Eversea, ale wyskoczył z łóżka w środku nocy, żeby modlić się przy jego siostrze, a czy w ogóle pomógł, czy nie, Jonathan skazałby się na potępienie, gdyby nie poczęstował go czymś do picia.

Co więcej, poślubił właśnie najmniej oczekiwaną kandydatkę na żonę, rujnując marzenia legionów kobiet w Pennyroyal Green i Greater Sussex. A Jonathan domyślał się teraz, ile odwagi to musiało wymagać.

Adam zawahał się.

– Dziękuję. Brandy, jeśli macie.

– Mamy wszystko.

Adam Sylvaine uśmiechnął się.

– Podejrzewam, że po dzisiejszym wieczorze wszyscy będziecie potrzebowali odrobinę wszystkiego. I serdecznie gratuluję wam wszystkim.

9

*T*ommy była wyspą wśród morza hałasów w salonie. Barytony wznosiły się i opadały w rytmie konwersacji, sporów, dowcipnych uwag. Poruszała się wśród ludzi bez celu, ale wiedziona instynktem, unosząc się na fali dźwięków, jak liść na wietrze. Uśmiechała się i komentowała odruchowo. Nie próbowała czarować. Nie sądziła, żeby ktoś zwrócił na to szczególną uwagę.

Wracały do niej fragmenty wspomnień: twarz Jonathana, kiedy wyruszał do Sussex – patrzył na nią, jakby chciał ją zapamiętać, jakby chciał, żeby ona utrwaliła sobie jego obraz w pamięci. Jakby widział ją po raz ostatni. Jego ręce na jej plecach, kiedy wypłakiwała się w jego koszulę, jego czułość i siła. Delikatny dotyk jego brody na czubku jej głowy. Chwila, kiedy wyjął chusteczkę i strząsnął okruszek z kącika ust małej Sally. Instynktownie chronił słabszych. Przebierała wśród tych wspomnień, jakby to były klejnoty w szkatułce, każdy oszlifowany, lśniący.

Ponieważ to było wszystko, co po nim zostało; nie widziała go od tygodni. Pożerał ją oczami, a potem, jak się wydaje, porzucił kompletnie.

– Panno de Ballesteros.

Głos Argosy'ego zabrzmiał nagle ostrzej. Co jej uświadomiło, że pewnie wymówił jej nazwisko więcej niż raz.

Odwróciła się do niego lekko zaskoczona, unosząc brwi. Słuchała, jak opowiada z entuzjazmem o jakichś swoich sukcesach, a potem poczęstował ją komplementem na temat… czegoś. Nie mogła sobie przypomnieć.

– Nie ma go tutaj – powiedział łagodnie Argosy.

Nagle coś ścisnęło ją za gardło. Patrzyła na niego, nie będąc w stanie się odezwać.

– Wybacz, lordzie Argosy, ale nie jestem pewna, o czym… – Jej głos był zbyt słaby. Usłyszała go i niemal się skrzywiła.

– Redmond jest w Sussex. Albo przynajmniej, jeśli wrócił do Londynu, jeszcze go nie spotkałem.

Zaśmiała się nerwowo.

– Wybacz, lordzie Argosy, ale wciąż nie…

– Patrzysz ciągle na miejsce obok mnie, jakbyś spodziewała się kogoś tam zobaczyć, a kiedy go nie widzisz, twoja twarz traci cały blask.

Odjęło jej mowę. Trudno sobie wyobrazić, Argosy po raz pierwszy zobaczył w niej człowieka. Jej uczucia muszą być czytelne, a do tego nie powinna dopuszczać.

Cisza stawała się niezręczna. Jednak wciąż nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

Uratował ją półuśmieszkiem.

– Mogłabyś gorzej wybrać niż Redmond.

Stwierdziła, że stać ją na dość przekonywający uśmiech.

– Myślę, że się mylisz, lordzie Argosy.

– Nie mylę się – odparł swobodnie.

Nadal była zbyt oszołomiona, żeby zdobyć się na właściwą odpowiedź. Nastała cisza uczciwsza niż wszystkie konwersacje, jakie do tej pory prowadzili. Podczas gdy Argosy patrzył na nią, ona patrzyła na swoje pantofle. Potem przesunęła wzrok na jego błyszczące guziki i zobaczyła odbitą w nich swoją maleńką twarz. Popatrzyła niewidzącym wzrokiem na salon, jakby to było morze.

– Czy wiesz, że straciłem pierwszą miłość na rzecz Milesa, brata Jonathana? – odezwał się w końcu. Zwyczajnie. Bez melodramatycznej nutki.

Przyglądała się Argosy’emu, którego ciemne oczy patrzyły na nią, nie bez współczucia. Może trochę cierpko.

– Z pewnością ja nie jestem twoją miłością – odezwała się łagodnie.

Zawahał się. Zastanawiał się nad odpowiedzią. Tak wspaniale przystojny mężczyzna wedle wszelkich standardów – z wiekiem z pewnością miał stać się jeszcze przystojniejszy – a nie budził w niej żadnych odczuć.

– Nie – przyznał po chwili. – Ale czasem pragnie się przeżyć romans, bez bólu, jaki może nieść, a ty, panno de Ballesteros, jesteś oszałamiająca jak szampan.

Ach, to słowo. Ból. To ją uderzyło w tym zdaniu. Przeraziło ją. Wydawało się tak silnie związane z „romansem”, jak to nazwał. Właśnie obdarzył ją dziwnym komplementem i prawdą. Była przyjemnym urozmaiceniem, anestezją, sposobem, żeby zapomnieć. Taką rolę grała wobec wielu mężczyzn tutaj, ale zwykle mylili to z pożądaniem. Zapewne tak jak Prescott.

Nie uraziło jej to, co powiedział Argosy. Wolała prawdę od iluzji.

Ciekawa była, czy Argosy wie, że romans i miłość to dwie różne rzeczy. Miłość, jak przypuszczała, jest wtedy, kiedy obejmują cię ciepłe męskie ramiona, a ty wypłakujesz stratę i upokorzenie w jego koszulę. Miłość to mężczyzna, który skacze z mostu do Ouse, żeby odzyskać kawałek metalu i wstążki, które są

jedynym łącznikiem z rodziną, którą mogłoby się mieć.

Na tę myśl poczuła, że jej pierś wypełnia światło. Chciała zamknąć oczy, żeby zostać sam na sam z tą świeżo odkrytą prawdą.

Zastanawiała się, czy Jonathan wie, że ją kocha.

A nawet jeśli wie, to czy to cokolwiek zmienia.

Zastanawiała się, czy to dlatego zniknął.

Opanowała się.

– Jestem zachwycona, że pomagam ci doskonalić sztukę flirtu, lordzie Argosy, do dnia, kiedy odnajdzie cię miłość.

Nie była pewna, czy zauważył nacisk, jaki położyła na tym słowie. Uniósł kącik swoich pięknie wyciętych ust, jakby wątpił, że ten dzień kiedyś nadejdzie.

– Tak czy inaczej, spodziewam się, że będziemy się dalej cieszyć swoim towarzystwem, jak dotąd, panno de Ballesteros.

– Naturalnie. Dziękuję, lordzie. I mylisz się, wiesz, co do… pana Redmonda.

Należało to powiedzieć, nawet jeśli oboje wiedzieli, że ona kłamie, a Argosy wiedział, że ona wie, że kłamie. Po prostu nie mogła ani nie zamierzała przyznawać się głośno, że coś ją łączy z Redmondem.

– Tak. Tak samo, jak jestem przekonany, że ty go wcale nie interesujesz.

Próbował, bez powodzenia, stłumić uśmiech.

Znowu zapanowała między nimi krótka cisza.

– Czy ucieszy cię świadomość, że twoje komplementy są najlepsze?

Uśmiechnął się, nieco ułagodzony.

– Tobie zawdzięczam inspirację.

Obróciła pusty kieliszek w palcach, nie patrząc na niego.

– Czy pan Redmond zdaje sobie sprawę, jak dobrego ma w tobie przyjaciela? – odezwała się cicho.

– Tak. Choć z trudem toleruję jego niewytłumaczalną chęć robienia pieniędzy. Rozumiem to.

– Z tego, co wiem, on ma…

Wysoka, patykowata postać weszła do pokoju. Wszystkie mięśnie jej ciała napięły się. Prescott nie spojrzał wprost na nią, nie natychmiast. Może jeszcze jej nie zauważył. Obserwowała, jak rozmawia z innymi, z jakim szacunkiem i wdziękiem zwraca się do hrabiny.

Nadeszła pora na ucieczkę.

– Wybacz, lordzie.

Przez piętnaście minut, niczym medal wojskowy jej ojca, podskakujący na falach Ouse, dryfowała od rozmowy do rozmowy, byle dalej od Prescotta. Czuła go

jednak na krawędzi świadomości, jak nadciągającą burzę. Nie żeby niósł zniszczenie. Było jednak oczywiste, że lord Prescott ma do komunikowania jakąś nowinę, nosi się z jakimś zamiarem, który mógł bardzo zmienić pogodę jej uczuć.

Miała nadzieję, że nie chodzi o dalsze sugestie co do jej biegłości w łóżku.

Kobieta nie mogła przekroczyć pewnej ilości szampana, żeby nie musieć udać się do toalety. W takim wypadku musiałaby opuścić salon i Prescott by ją dopadł. Ale w pewnej chwili nie mogła już czekać ani minuty.

Jak było do przewidzenia, kiedy wyszła z toalety, lord Prescott wyłonił się z cienia w maleńkim saloniku oddzielającym toaletę od pomieszczenia, gdzie przebywali goście.

– Panno de Ballesteros, możemy zamienić słowo?

Zatrzymała się dobre pięć stóp od niego. Tuż poza zasięgiem jego ramion.

– Lordzie Prescott. Tym razem przynajmniej nie wyskoczyłeś znienacka.

– Nigdy nie straszę celowo. Mam nadzieję, że mi wybaczysz. Trudno znaleźć chwilę, żeby porozmawiać z tobą na osobności.

No proszę. Zatem mój plan działa.

– Powiem krótko – oznajmił. – Zastanowiłem się poważnie nad tym, co mówiłaś ostatnio, panno de Ballesteros. A ponieważ posiadam znaczny majątek i nie ograniczają mnie wymagania ze strony rodziny, mogę się ożenić, z kim mi się podoba.

Wymagania ze strony rodziny. Zdanie, które bardzo pasowało do Jonathana Redmonda. Dla arystokraty to dość niezwykłe nie mieć takich ograniczeń.

A potem słowo „ożenić się” zadźwięczało jej w głowie.

Nagle poczuła się sparaliżowana tym, co jak czuła, miało nastąpić.

– A jeśli moje nazwisko jest tym, co umożliwi mi dzielenie z tobą przyjemności łoża, panno de Ballesteros, będę doprawdy zadowolony, jeśli zgodzisz się za mnie wyjść.

Szumiało jej w uszach. Wyjść za mnie, wyjść za mnie, wyjść za mnie.

Słowa wydawały się w jej głowie odbijać echem, podwójnie, potrójnie. Zemdleję, pomyślała. To z pewnością niemożliwe. Ze wszystkiego, czego doświadczyła dotychczas w życiu, oświadczyny ze strony wicehrabiego, którego praktycznie nie znała, nie mogły wywołać takiej reakcji.

Podszedł bliżej.

Nie mogła ukryć odruchowego wzdrygnięcia.

Konsekwencje takiego kroku roiły się w jej wyobraźni jak pszczoły. Byłaby lady Prescott. Lady. Miałaby niewyczerpane fundusze do dyspozycji, karetę, służbę, świetne stroje, pensję. Na zawsze stałaby się częścią drzewa genealogicznego

rodziny o tym prastarym tytule; namalowano by zapewne jej portret i powieszono nad kominkiem w jego miejskiej rezydencji albo w jednym z domów na wsi, Prescott z zadowolonym wyrazem twarzy, z ręką spoczywającą na jej ramieniu, z ich patykowatymi dziećmi tulącymi się do jego kolan. Może nawet przekonałaby go, żeby użył swoich wpływów politycznych do zniesienia na zawsze pracy dzieci.

Nigdy nie musiałaby już mieszkać w starej, hałaśliwej ruderze. Nigdy nie musiałaby się martwić, za co przeżyć do jutra.

Nigdy więcej nie zaznałaby wolności, podniecenia, namiętności, miłości.

A jedyną ceną za tę wygodę i bezpieczeństwo byłoby leżeć w łóżku obok tego człowieka, pozwolić mu się dotykać i dotykać jego – do końca swoich dni.

Rodzić jego dziedziców.

Poślubić obcego człowieka, z którym dzieliła początkowo pochlebstwa i żarciki na temat licznych wybryków króla. Ledwie go znała. A on z całą pewnością nie znał jej wcale.

Słyszała własny, przyśpieszony paniką oddech.

Jeden mężczyzna mógł ofiarować jej wygodę i schronienie w swoich ramionach, gdzie mogła się wypłakać.

Ten mężczyzna ofiarował jej wieczność.

Gdyby Prescott oświadczył się miesiąc wcześniej… Dzień wcześniej, zanim spotkała Jonathana Redmonda o północy przez domem księcia Greyfolk…

Ach, teraz była inną kobietą. Jeden pocałunek ją zmienił.

I chwila rozkoszy na balu.

Dlaczego Prescott sądził, że jest tego warta? Marzyła o tym, żeby zapytać. Co było w niej takiego szczególnego? Miała świadomość własnej urody, ale w wyższych sferach nie brakowało pięknych kobiet, z których wszystkie wydawały się tańczyć z Jonathanem Redmondem na tamtym balu. Czy chodziło o tę fantazję na jej temat, o której mówił Argosy? Chęć pokonania wszystkich innych, którą wydawał się podzielać każdy bogaty mężczyzna?

Gdyby tylko inwestycja w interes Jonathana i Klausa przyniosła zyski.

– Lordzie Prescott. – Głos jej drżał. Odchrząknęła. – Twoja propozycja pochlebia mi i zawstydza. Jestem pod wrażeniem. Błagam cię o trochę czasu, żeby ją rozważyć.

Wypuścił powietrze i podniósł głowę nieco zaskoczony. Milczał, przyglądając się jej. Widocznie znowu postąpiła w sposób nieoczekiwany.

– Bardzo dobrze. Pamiętaj jednak, panno de Ballesteros, że nie zapytam ponownie. Wiem, że nie muszę wyjaśniać, że ofiarowanie ci mojego nazwiska i tytułu naprawdę jest zaszczytem i naraża moją reputację na pewne ryzyko.

Oczekuję twojej odpowiedzi w ciągu miesiąca. To z pewnością wystarczy, żeby… położyć na szalę inne oferty.

Otworzyła szeroko oczy. Cóż. Nie doceniła lorda Prescotta. Albo może, ściślej mówiąc, nie doceniła go w pełni. Krył się w nim jeszcze jeden człowiek pewien, że dostanie to, czego chce. Ponieważ zawsze, jak się wydaje, dostawał.

Nie miał ochoty czekać na rozstrzygnięcie sprawy takiej wagi.

Mężczyźni, którzy mają władzę, są do siebie podobni, pomyślała Tommy. Są zdumieni, kiedy kogoś nie da się kupić.

Uniosła brodę.

– Dziękuję, lordzie Prescott. Dobrze wiedzieć, że twoje pragnienia wobec mnie ustaną z określoną datą.

– Podobnie jak w wypadku każdej innej kobiety. Ty przede wszystkim powinnaś zdawać sobie sprawę, że uroda kobiety nie trwa wiecznie. Tak samo, jak zdolność rodzenia dzieci.

Groźby! Jakie to romantyczne.

– Dziękuję za przypomnienie. Chwilowo umknęło mi to z pamięci.

Skinął głową, uśmiechając się lekko, doceniając jej cięty język.

– Dobrego dnia, panno de Ballesteros. Nie jestem człowiekiem pozbawionym uczuć i myślę, że teraz odejdę, żeby dojść do siebie po zdecydowanie dwuznacznym przyjęciu moich oświadczyn.

Uśmiechnęła się.

– Dobrego dnia, lordzie Prescott. Być może ja także powinnam się oddalić, żeby pielęgnować swoją urodę.

Skłonił się i odszedł, zamierzając zapewne odebrać od lokaja płaszcz i kapelusz.

Wycofała się w kąt, żeby poczekać, aż wyjdzie. Nie mogła wrócić do salonu, nie po tym, co się stało. Zamknęła oczy i policzyła do stu, powoli i starannie, żeby nie myśleć w tej chwili o niczym i o nikim.

A potem ona także uciekła, bez pożegnania; pobiegła swoją drogą – labiryntem do domu, tak żeby nikt nie próbował za nią pójść, odnaleźć jej, dowiedzieć się, jaka jest naprawdę.

10

Dziękuję za marcepanowe maliny. – To były pierwsze słowa Violet, kiedy Jonathanowi pozwolono w końcu ją zobaczyć sam na sam.

– Czy ty majaczysz? – wyszeptał zdumiony.

Roześmiała się cicho. Jego piękna siostra wyglądała tak, jakby przeciągnięto ją po dnie Ouse.

Wilgotna, blada jak trup, wyczerpana, o zapadłych policzkach. Ale jej oczy lśniły wewnętrznym światłem. Była w niej radość. Tylko sobie wyobrazić – spokojna Violet. Trzeba było bliskości śmierci, żeby tego dokonać.

– Czy naprawdę dobrze się czujesz, Vi?

– Tak, mam się dobrze albo będę, jeśli poleżę w łóżku przez parę dni i pozwolę się obsługiwać, ale na razie dość o mnie.

Dość o mnie. Nigdy nie słyszał z jej ust takich słów.

Już miał zapytać, czy czuje się inna teraz, kiedy została matką, ale na to pytanie raczej poznał już odpowiedź.

Winowajca, niemowlę, opatulone w biel, wydawało ciche cmoknięcia, wywijając piąstkami wielkości ciasteczek do herbaty. Była prawie taka bezkształtna jak pudding, z maleńkim noskiem i usteczkami. Niesamowicie urokliwe niebieskie oczka patrzyły w jego stronę. Na szczycie główki miała gęstą, ciemną kępkę włosów.

Zerknął w dół.

– Jestem twój wujek Jonathan.

Pomachała piąstką, jakby trzymała kastaniety, i popatrzyła ponuro jak ksiądz biskup.

Ostrożnie podał palec małej piąstce i piąstka natychmiast do niego przywarła.

– Jak się nazywa? – zapytał cicho.

– Ruby. Ruby Alexandra.

– Podoba mi się – stwierdził Jonathan, podczas gdy Ruby wypróbowywała nowe rączki i ściskała jego palec.

– Auć – drażnił się z nią łagodnie.

– Nie czuj się wyjątkowy – powiedziała Violet. – Ściska wszystkich.

Roześmiał się cicho. Pozwolił Ruby trzymać swój palec. Jaką jedwabistą miała skórę. Jaką niebezpieczną, niezwykłą rzeczą jest być dzieckiem. Podejrzewał, że Violet i hrabia będą dla dziecka odpowiednikiem pary lwów w charakterze rodziców. To dziecko będzie bezpieczne i szaleńczo kochane. Będzie łamać serca.

– O co chodziło wczoraj wieczorem z tymi dziećmi i młynem, Jonathanie? Zastanawiałam się, czy nie oszalałeś. Mówiłeś z taką… pasją. Prawie tak, jakby… coś cię głęboko obchodziło.

Jakby nigdy przedtem nic go nie obchodziło. W jej głosie brzmiało nieznośne rozbawienie.

Nie odpowiedział. Nie mógł. I chciał podziwiać Ruby. Przyglądał się jej ciekawie, gdyż jeśli miałby powiedzieć prawdę, wyglądała na stworzenie, które nie powinno jeszcze opuścić kokonu.

– Będę twoim ulubionym wujkiem – obiecał.

Violet tylko popatrzyła na niego, uśmiechając się znacząco.

– To kobieta – stwierdziła. A potem jakaś myśl przyszła jej do głowy. – Dobry Boże, to nie Olivia Eversea, prawda? Pokazuje się ostatnio z Landsdowne'em.

Parsknął. Ignorując pytanie. Ale raczej rozumiał Olivię Eversea. Prawie… prawie raczej dobrze jej życzył. Posłał bratu milczącą wiadomość: Lyon, gdziekolwiek jesteś. Twoja kobieta pokazuje się z Landsdowne'em.

Nie był jego bratem i dzięki za to Bogu.

– Vi?

– Hm.

– Cieszę się, że nie umarłaś.

– Też cię kocham, Jonathanie.

– Obiecasz, że pozostaniesz przy życiu, kiedy ja wyjadę do Londynu? Muszę coś tam natychmiast załatwić.

– Oczywiście – ziewnęła.

Wierzył jej.

Dotknął lekko malutkiego noska Ruby, ponieważ był jak guziczek i jak mógłby się powstrzymać?

Pocałował Violet w policzek i wyszedł.

Łup, łup, łup.

Tommy skrzywiła się, kiedy Rutheford przechodził z jednego końca pokoju w drugi. Londyn w ogóle wydawał się ostatnio bardziej hałaśliwy. Ale może to dlatego, że miała napięte nerwy, odkąd Prescott się oświadczył, i wciąż miała

kakofonię myśli w głowie. Usiłowała czytać okropną powieść, którą pożyczyła jej hrabina Mirabeau, ale nie zdołała i wpatrywała się w wahadło na małym pozłacanym zegarze. Może uda jej się wpaść w rodzaj transu i odzyskać spokój.

Bezskutecznie. Niemal żałowała, że wie, jakie to uczucie znaleźć się w ramionach Jonathana, ponieważ teraz nie pragnęła niczego innego. Tylko to mogłoby ją pocieszyć.

Rozległo się pukanie do drzwi. Natarczywe.

O mało nie wyskoczyła ze skóry.

Długie pukanie. Zmienne w rytmie.

Zeskoczyła z kanapy i wygładziła spódnicę, pobiegła korytarzem i schodami w dół; wyjrzała przez judasz.

Nie mogła się pomylić co do wysokiej postaci na zewnątrz, choć widziała go jedynie od drugiego guzika po krawat. Pootwierała wszystkie zamki i otworzyła drzwi na oścież.

Stali w głuchej ciszy, chłonąc wrażenia wszelkimi zmysłami.

Na jego twarzy odmalowało się najpierw zdumienie, potem zachwyt i wreszcie ulga. Jakby przez chwilę miał wrażenie, że Tommy jest jedynie wytworem jego wyobraźni.

Był dziwnie blady i niespokojny. Ściągnął kapelusz z głowy.

– Mogę wejść? – zapytał uprzejmie. Kiedy już wydawało się, że żadne z nich nie zdoła się odezwać.

Cofnęła się.

– Ja… tak. Oczywiście. Wygląda na to, że dobrze by ci zrobiła mocna herbata. Albo może whiskey.

– Herbata mi wystarczy – mówił zmęczonym głosem. Jakby od wielu dni nie spał.

Powiodła go do swoich pokoi, szedł za nią w milczeniu.

Gdzie byłeś, miała ochotę zapytać, kiedy wicehrabia mi się oświadczył i straszył, że moja uroda zwiędnie?

Milczał. Pozwoliła, żeby cisza i napięcie mówiły za nią.

Ogolił się raczej pośpiesznie, jak zauważyła, i miał cienie pod oczami. Ale patrzył na nią z nieukrywanym żarem. I dziwnym skupieniem.

Jakby stanowiła środek tarczy.

W końcu nie mogła już wytrzymać.

Odzyskała głos.

– Zrobię… zrobię herbatę.

– Tommy… poczekaj.

Ale nie powiedział nic więcej. Trwał bez ruchu, rozglądając się po pokoju, jakby nigdy w życiu go nie widział. Nie siadał.

– Jonathan… czy coś jest nie w porządku?

– Nie w porządku… Cóż, wpierw musisz mi pogratulować. Mam nową siostrzenicę. Właściwie pierwszą siostrzenicę. Ma na imię Ruby.

Ogarnęła ją radość. Wiedziała, jak bardzo kocha siostrę, a dziecko jest po prostu darem.

– Gratuluję! Mój Boże, urodziła się przedwcześnie, prawda? Jest piękna?

– Wygląda trochę jak robak z ciemnymi włosami na czubku. Mały, wrzeszczący robak z piąstkami wielkości ciasteczek do herbaty. Albo jak herbatniki. Nosek ma jak guziczek. – Wskazał swój nos.

Zdążyła go już poznać.

– Ach, zatem, innymi słowami, jest piękna.

Drgnął mu kącik ust.

– Ma ładne oczy. Niebieskie. Myślę, że postara się, żeby być piękna. Ma ładnych rodziców.

– Niebieski to wspaniały kolor dla oczu – powiedziała cicho.

Zamrugał. A uśmiech, jakim ją obdarzył, omal nie zwalił jej z nóg.

– Wiem.

Roześmiała się, nagle pozbawiona wszelkiego ciężaru; szczęście przebywania obok niego niemal sprawiało jej ból.

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, podczas której wpatrywał się w nią w skupieniu.

– A jak się miewa matka?

Teraz milczał tak długo, że się zaniepokoiła.

– Wezwali proboszcza.

Och, nie. Och, Boże, nie. Nie jego siostra. Nie Violet.

Czuła, jak podłoga ugina się pod jej stopami; przejął ją strach, że coś złego mogło spotkać kogoś, kogo on kocha.

Teraz rozumiała, że nie chce powiedzieć tego głośno. To by się stało zbyt prawdziwe.

Odruchowo postąpiła o krok w jego stronę.

– A to Eversea, ten proboszcz, cóż, ich kuzyn w gruncie rzeczy. Oto, jak byli pewni, że ona umrze. Było źle, Tommy. Bardzo źle.

Mówił chrapliwym głosem.

Serce jej się ścisnęło.

– Och, Jonathanie. I ona…

– Żyje – powiedział pośpiesznie, z naciskiem, tak jakby im mocniej to

zaznaczył, tym prawdziwsze to się mogło stać. – W istocie ma się coraz lepiej. Spodziewam się, że wkrótce znowu zacznie mi dokuczać.

Odetchnęła.

– Dzięki Bogu.

– Owszem, niewykluczone że ma z tym coś wspólnego.

Co za ulga. Wiedziała równie dobrze, jak znała rytm swojego serca, jak strasznie przeżyłby nieszczęście, które dotknęłoby siostrę. A ona cierpiałaby razem z nim.

Jak to się stało, że w ciągu paru tygodni jej szczęście stało się nierozerwalnie związane z jego?

– Powinieneś usiąść, Jonathanie – spróbowała łagodnie. – Wyglądasz na trochę…

– Zmaltretowanego? – uśmiechnął się blado. – O, tak. To ciężka praca siedzieć wśród mężczyzn o twarzach białych jak prześcieradło i nie robić nic, poza targowaniem się z Bogiem, podczas gdy twoja siostra niemal umiera przy porodzie. W ciągu całego życia nie czułem się tak bezużyteczny. – W głosie zabrzmiała gorzka nutka.

– Nigdy tak nie myśl – powiedziała cicho, z pasją. – Gdybyś tylko wiedział… jaki jesteś ważny. Jaki jesteś dobry. Jaki potrzebny. Dla ludzi, którzy cię kochają.

Dla mnie. Dla mnie. Dla mnie.

Tego ostatniego nie powiedziała głośno.

Ale on to usłyszał.

Bóg jeden wie, jak długo milczeli. Przyglądając się sobie, zagubieni w myślach.

– Nie wyobrażam sobie świata bez niej. To po prostu niemożliwe – odezwał się nieswoim głosem.

Zrozumiała, że to, co powiedział, sposób, w jaki to zrobił, dotyczy także jej samej.

Serce jej podskoczyło ze wzruszenia.

– Wszystko, o czym mogłem myśleć, Tommy, to… że są te wszystkie dzieci, odrzucone, jakby nie miały znaczenia, używane jak opał dla fabryki. Jakby były zbędne. A jeśli pomyśleć, ile trzeba, żeby wydać je na świat… i o Sally, która ma dołeczek, i o Charliem, który jest taki bystry i… jak… jak… można tak po prostu…

Przerwał. Wciągnął powietrze i odetchnął, żeby się uspokoić.

– Tak – powiedziała cicho. – One wszystkie są ważne.

– Życie jest krótkie, Tommy. Krótkie i niebezpieczne. Trochę tak jak ty.

Zachichotała zaskoczona.

– Tommy… – Odetchnął powoli. – Dosyć. Jest coś, co chcę ci powiedzieć.

Tap. Tap. Tap. Jej serce mogło konkurować z Ruthefordem, jeśli chodzi o hałas.

Wydawało się, że zastanawia się nad słowami albo zbiera się na odwagę.

Czekała. Na skraju przepaści.

Cisza przeciągała się.

Odetchnął jeszcze raz.

– Śniłem o dotyku twojej skóry każdej nocy, odkąd cię dotknąłem.

– Jonathan… – szepnęła przestraszona.

– I o tym, jakby to było czuć twoje płomienne włosy na swojej nagiej skórze. – Zrobił dwa kroki w jej kierunku.

– Nie są płomienne…

– No to kasztanowe – stwierdził niecierpliwie. – I myślę… Mam nadzieję… – przerwał. – Mam nadzieję, że czujesz to samo.

Wiele słów nie zostało wypowiedzianych i nie mogła mieć o to do niego żalu. „Miłość" to wielkie i przerażające słowo.

– Nie.

Znieruchomiał.

– Nie – ciągnęła cicho. – W ogóle nie myślałam, jak by to było leżeć nago obok ciebie, obejmując cię nogami. I nie straciłam ani minuty snu, zastanawiając się, jaki jest dotyk twojej skóry na mojej.

Zamknął oczy i wydał westchnienie ulgi, które poruszyło jego ramiona w górę i w dół. Kiedy znowu otworzył oczy, ich wyraz sprawił, że ugięły się pod nią kolana.

– Tommy… – szepnął. – Powiedz mi… po co innego żyjemy, jeśli nie po to? – Głos mu chrypiał na skutek zmęczenia albo emocji.

To było jak tamta chwila, kiedy szła po poręczy. Nie patrz w dół, Tommy. Nie patrz na swoje stopy. Nie zastanawiaj się, jak ci się udaje tak niebezpiecznie balansować. Po prostu to rób.

Nie ofiarował jej niczego poza sobą samym. Ani przyszłości, ani wieczności.

Nigdy nie wybierała łatwej drogi. Potrzeba bezpieczeństwa nie leżała w jej naturze. A jeśli miłość jest tak niebezpieczna, że żadne z nich nie odważyło się wypowiedzieć tego słowa, to niech tak będzie.

Podeszła bliżej i odchyliła głowę, żeby spojrzeć tak wysoko, że kręciło się w głowie, na jego piękną twarz.

Przesunął dłońmi po jej szyi i objął głowę.

– Dla tego. Po to jesteśmy stworzeni – szepnął.

Zanim położył usta na jej wargach.

Ich usta się stopiły. I powoli, po troszeczku, jego pocałunek uwalniał ją z własnej skorupy. Najpierw powoli, potem bardziej zdecydowanie, obnażając ją

warstwa po warstwie.

Odsunęła się, wtuliła głowę w jego pierś, potrząsnęła nią.

– Jonathan… – Głos jej drżał. Nadal szept. Ostrzeżenie.

Ale jego dłonie zawędrowały na wiązania jej sukni i nie powstrzymała go.

Szeptał jej do ucha, to było jak zaklęcie albo głos jej własnego serca i nie mogła nie posłuchać.

– Powiedz, że nie myślałaś o mnie każdej nocy. O moim dotyku, zapachu, smaku. Powiedz, że nie nawiedzałem cię tak jak ty mnie.

– Nawiedzałeś? Ani przez chwilę – szepnęła, odpinając pierwszy guzik jego koszuli. – Ani twój uśmiech. Ani dźwięk twojego śmiechu. Ani widok twoich nóg w tych spodniach.

To jej zaskarbiło lekki uśmiech.

– Zawsze wiedziałem, że jesteś kłamczuchą – odszepnął. Dał sobie radę z wiązaniami i zsunął górną część sukni z jej ramion, przesuwając ustami po ich zaokrągleniu, wywołując gęsią skórkę.

Odpięła drugi guzik. Wsunęła ręce pod koszulę – co za cudowna ulga móc go wreszcie dotknąć. Położyła policzek na jego piersi, słuchając bicia serca. Przesunęła palcami wzdłuż zagłębienia między mięśniami – w dół, do guzików jego spodni. Jego brzuch podskoczył, kiedy zaczerpnął gwałtownie oddechu, napełniając ją radością. Czuła z zachwytem, jak jego ręce zaciskają się wokół niej, powoli suną w górę wzdłuż kręgosłupa, wywołując falę gorąca.

Podejrzewała, że w istocie posiada dar sprawiania przyjemności, ale tylko wobec mężczyzny, któremu chciała sprawić przyjemność.

– Zamierzam cię kochać w każdy możliwy sposób – obiecał szeptem, zsuwając niżej stanik sukni.

– Doskonale. – Wyciągnęła mu koszulę ze spodni.

– Po bożemu, do góry nogami, bokiem, na siedząco i na stojąco. Ty na górze. Potem ja na górze.

– Wspaniały plan. – Koszula spadła mu z ramion. Och, jego ramiona. Cudowne, silne ramiona. Nie mogła się doczekać, żeby ich dotknąć ustami.

– Od tyłu, z przodu. Na łóżku, na stole, na kanapie.

Przerwał i ściągnął jej suknię przez głowę, takim gestem, jakby odsłaniał dzieło sztuki. Spadła na podłogę.

– A potem? – szepnęła.

– A potem zrobimy to wszystko od początku.

To była nigdy niekończąca się historia!

A jednak, kiedy w końcu oboje stanęli nadzy, wydawał się nieco oszołomiony.

Trochę jakby nie wiedział, od czego zacząć, ponieważ dano mu mnóstwo możliwości do wyboru, oferując ucztę.

Więc objęła go ramionami i przycisnęła się do niego całym ciałem; poczuła, jak jego brzuch poruszył się silnie pod wpływem oddechu i cudownego odczucia dotyku nagiej skóry. Złożyła miękki, gorący pocałunek na jego piersi, potem niżej i niżej.

Podniósł ją, a ona objęła go w pasie nogami; położył ją na łóżku. Wylądowała z miękkim stuknięciem.

Przyglądał jej się sekundę lub dłużej, śmiało ją podziwiając, pociemniałymi, pełnymi ciekawości oczami. Na tyle długo, żeby się zarumieniła. Jakby nie chciał tej chwili zapomnieć.

Objęła dłońmi jego głowę i pociągnęła w dół.

Cóż za niezwykły przywilej – czuć jego ciało przy swoim. W końcu pojęła, jakie jest prawdziwe przeznaczenie skóry, palców, ust. Chciała smakować każdy cal jego ciała, każde zagłębienie, każdą krzywiznę. Ale na to znajdzie czas później. Ponieważ teraz leżeli spleceni, całowali się, pozwalając rękom chciwie błądzić, odkrywać; każdy dotyk, pocałunek, oddech rozpalał namiętność i podniecał.

– Jonathan… proszę… szybko…

Nie musiała błagać. Jego białe biodra poruszały się rytmicznie, prowadząc oboje do rozkoszy. To był Jonathan, który zadrżał w jej ramionach, i to jej imię wykrzyczał chrapliwie przy jej szyi.

Potem leżeli cisi, wyczerpani. Powyciągał wszystkie szpilki z jej włosów i rozczesał je, aż rozsypały się po poduszce.

– Rudobrunatne – szepnął do siebie.

– Nie – sprzeciwiła się znowu.

Leniwie wsunął palce w jej włosy.

– Nikt nigdy nie całował mnie w taki sposób jak ty – powiedziała.

– Było wielu? – mówił ospałym głosem. Dla niego to nie miało znaczenia. Zrozumiała to.

– Nie – przyznała.

– To jedyny sposób, w jaki potrafię cię całować. Nie miałem wyboru.

– Co masz na myśli?

Odchylił głowę w tył zamyślony.

– Co Szekspir powiedział… coś o kobiecie i nieskończonej rozmaitości czy coś takiego?

Roześmiała się.

– Och, Szekspir, chłopcze z Oxfordu. Pytasz niewłaściwą dziewczynę.

– Ale to o tobie. Całowanie cię… całowanie cię to osobny świat.

Wiedziała, co chce wyrazić. To, że był w stanie to powiedzieć, poruszyło ją niezmiernie i przez chwilę nie mogła odzyskać głosu.

– Czy całowałeś wiele…

– Żadna z nich się nie liczyła, póki nie spotkałem ciebie.

To było jak rażenie piorunem. Popatrzyła na niego. Wzruszona i oszołomiona zakryła twarz włosami.

Odsunął je delikatnie. Zmarszczył brwi, jakby chciał powiedzieć coś głębokiego. Wstrzymała oddech.

– Teraz od tyłu? – zasugerował.

– Czy zamierzasz wyliczać pozycje, jak w bilardzie?

Roześmiał się. Boże, jakże kochała jego śmiech.

Łup. Łup. Łup. Na górze Rutheford przespacerował się po pokoju.

No i co?, pomyślała Tommy. W końcu dodałam własne tąpnięcia do hałasu w domu.

11

Po dwóch godzinach błogiego wylegiwania się Tommy dokonała dalszych odkryć. Na przykład, jak jego uda są cudownie, szokująco twarde. Przyjemny efekt jazdy konnej.

– Masz cudowne mięśnie ud – szepnęła, wsuwając między nie rękę.

– To prawda. Lepiej uważaj. Jeśli ścisnę je zbyt szybko, mogę przypadkiem złamać ci nadgarstek jak gałązkę.

Roześmiała się. Schyliła się, żeby pocałować blade, gładkie, na skutek jazdy konnej pozbawione włosów miejsce głęboko między jego nogami.

Obejmował jej plecy wielkimi dłońmi, poruszali się najpierw wolno, z zamkniętymi oczami. Pozwolił jej dyktować tempo. Zmysłowa tortura. Jęknął, kiedy się znowu podniosła. Na szyi wystąpiły mu krople potu, oczy ściemniały.

– Proszę, Tommy. Miej litość. Muszę… proszę… Boże…

Zlitowała się.

– Tommy! – Głowa mu opadła, zatrząsł się.

Stłumiła krzyk, wtulając się w jego szyję.

Cztery godziny później dokonał paru odkryć na jej temat.

Na przykład:

– Masz tyłek jak brzoskwinia – powiedział, delikatnie gryząc ją w pośladek. Wycałował ją wzdłuż kręgosłupa w dół, kiedy leżała, syta wrażeń, na brzuchu, z głową na ramieniu. Jęknęła cicho, unosząc biodra.

– Podoba ci się? – zapytał napiętym głosem.

– Proszę, nie przestawaj…

– Na rękach i kolanach – polecił.

Potem opadł, wyczerpany, obok niej, biorąc ją w ramiona. Oboje lśnili od potu.

Po jakichś siedmiu godzinach ogarnęła ich senność. Tommy leżała na nim połową ciała, obejmując go rękami.

Chrapał.

Obudziła się przed nim i przycisnęła głowę do jego piersi, nasłuchując. Cichego

chrapania. Słabego bulgotania w żołądku. Rytmicznego bicia jego serca.

To błogosławieństwo. Mam tyle, tyle szczęścia.

Jestem uprzywilejowana, mogąc go kochać.

Wiedziała, że on też ją kocha.

Przyjdzie czas, żeby martwić się, co to znaczy, czy myśleć o przyszłości.

Teraz istniał tylko on i bicie jego serca, i jego oddech, kiedy spał.

12

Jonathan nie wracał do rezydencji rodziców przy St. James Square przez dwa tygodnie.

Nie chodził do White'a. Ani do opery, na bale, do teatru i stracił parę zaproszeń na kolację.

I rzecz jasna, nie bywał w Salonie.

Nikomu nie zdradził, gdzie spędza noce. Nie dlatego, że musiał to koniecznie zachować w tajemnicy. W oszołomieniu fizyczną rozkoszą i szczęściem po prostu zapomniał, że ktoś mógłby chcieć to wiedzieć.

Wyprawiał się na zewnątrz tylko po to, żeby kupić jedzenie. A potem wracał do przytulnego gniazdka w starej ruderze w Covent Garden, gdzie z Tommy opowiadali sobie o swoim życiu, kochali się, spali, a potem znowu kochali.

Pomyśleć, że wydawało mu się przedtem, że jest szczęśliwy. To było coś zupełnie innego. Anarchia, nad którą nie panował, coś nieracjonalnego i zapewne niemożliwego do utrzymania na dłuższą metę. Sen, z pewnością, ponieważ nie widział żadnego sposobu, żeby to przenieść do swojego życia człowieka z towarzystwa. Ale tak długo, jak się dało, wolał czuć, nie myśleć.

Po około dwóch tygodniach Jonathan wstąpił do Klaus Liebman & Co. przy Bond Street.

Klaus i Argosy, który stał oparty o kontuar, przyglądając się, jak Wyndham szkicuje pewną piękną pannę, Elizabeth Francis, z którą Jonathan miał okazję tańczyć zapewne raz, odwrócili się, patrząc na niego ze zdumieniem.

– Kto wpisał „Jonathan Redmond żyje" w *Księdze Zakładów* White'a? – zapytał sucho Argosy.

– Trafiłem do *Księgi Zakładów*? – Jonathan wciąż błądził w chmurce przyjemnego miłosnego zamroczenia.

– W ubiegłym tygodniu byłeś głównym bohaterem wpisów w *Księdze Zakładów*. Ktoś założył się, że zniknąłeś razem z bratem Lyonem Redmondem. Dużo debatowano na temat, czy jakiś Eversea jest za to odpowiedzialny.

Och, Boże. Mógł sobie tylko wyobrazić, co ojciec pomyślał, kiedy to zobaczył. Nie tylko wspomniano imię Lyona, ale także próbowano podsycić popioły waśni z Eversea.

Wiedział, że nie powinien się oddalać od Rezydencji Ludzi o Wątpliwych Profesjach.

– Jest jeszcze inny zakład, Jonathanie – oznajmił ostrożnie Argosy. Coś było w jego tonie. – Wyjdziesz ze mną na chwilkę?

Argosy wskazał na zaplecze.

Miał złowieszczy wyraz twarzy.

– Co takiego? – Jonathana ogarnęła irytacja.

– Ja wiem, Redmond.

– Co wiesz? Oprócz tego, jakie konie są najlepsze i gdzie kupić rękawiczki za sto funtów?

– Wiem, że przez cały czas byłeś z Tommy de Ballesteros.

Jonathan poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Skąd ten pomysł?

To rozbawiło Argosy'ego.

– Szkoda, że nie widzisz swojej miny, Redmond! Nie martw się. Nie zamierzam cię wyzwać. Nietrudno cię przejrzeć, przynajmniej mnie. I żadna kobieta nie jest aż tak zainteresowana inwestowaniem.

– Zdziwiłbyś się, czym interesują się kobiety, Argosy. – Ostrożnie badał, czy Argosy nie czuje się zdradzony. Ale ten zachowywał wyjątkowo zimną krew, jak na człowieka o złamanym sercu, podczas gdy w wypadku Cynthii Brightly rozpaczał scenicznie.

– Kto jeszcze wie?

– Nie sądzę, żeby ktoś wiedział. Cóż, oprócz mnie, skoro to potwierdziłeś. Ale… to chciałem ci powiedzieć. W *Księdze* jest zakład dotyczący was obojga. Ciebie i Tommy.

– Chryste! Kto go postawił? I dlaczego?

– Rzecz w tym, że oboje zniknęliście ze sceny w tym samym czasie. U White'a zwrócono uwagę na tę zbieżność i Harry Linley, cóż, wypił parę kwart za dużo, uznał, że to daje odpowiedź na pytanie, gdzie się podzialiście, więc wyzwał Edmunda Rickburna. Jak Linley zamierza wygrać ten zakład, nie mam pojęcia.

Jonathan zastanawiał się pośpiesznie.

– Widziałeś mojego ojca u White'a?

Chwila wahania.

– Tak. Albo raczej widziano go u White'a. Dyskutował zawzięcie z księciem

Greyfolk.

Jonathan westchnął, ściągnął kapelusz i oparł się o ścianę.

– A niech to – mruknął. – A niech to, a niech to, a niech to.

Isaiah wcale nie musiał czytać zakładów w *Księdze*. Ani słyszeć czy wziąć sobie do serca lubieżnych plotek. Ale ojciec miał własne sposoby, żeby dowiedzieć się tego, czego chce.

A niech to.

– Jak to jest? – rzucił Argosy obojętnym tonem.

Jonathan odpowiedział spojrzeniem, w którym kryła się groźba.

– Jak jest co? – zapytał uprzejmie, choć chłodno.

Argosy tylko spojrzał na niego niedowierzająco, unosząc brew.

– Okropnie. – Jonathan uśmiechnął się powoli.

– Ach, tak. Jestem pewien, że okropnie. Wyglądasz na kompletnie wyczerpanego fizycznymi zajęciami. Chcesz kawałek sera?

Jonathan zaśmiał się. Potem westchnął.

– Lepiej zerknę do ksiąg, żeby sprawdzić, jak się miewają zamówienia.

– Co zamierzasz, Redmond?

– Nie wiem. Nigdy nie byłem zakochany.

– Miłość? – Argosy był tak zaszokowany, że o mało się nie zakrztusił. – Chcesz powiedzieć, że to jest to, co czułem do Cynthii?

Jonathan nie miał do niego cierpliwości.

– Z całym szacunkiem, Argosy, to nie była miłość. Wierz mi, będziesz wiedział, kiedy to się zdarzy.

To nie był dzień Salonu – o którym Tommy zupełnie zapomniała w ciągu ostatnich dwóch tygodni – ale ponieważ Jonathan udał się na Bond Street do Klaus Liebman & Co., a hrabina Mirabeau przysłała liścik z prośbą, żeby ją przed południem odwiedziła, Tommy poszła z radością.

Dom wydawał się niezwykle spokojny bez gwaru rozmów gości. Później Tommy uznała tę ciszę za złowróżbną. Tak jak wtedy, kiedy ptaki milkną przed wściekłą burzą.

Uśmiechnęła się i podsunęła hrabinie policzek do pocałunku, która tego dnia ubrała się wyjątkowo modnie, w turban z długim piórem i jedwabną suknię śliwkowego koloru.

– Prosił, żeby mu ciebie przedstawić, moja droga, a ponieważ to najwyraźniej bogaty i ważny człowiek, uznałam, że w twoim najlepszym interesie leży jego prośbę spełnić.

Tommy znieruchomiała.

A potem obróciła się na pięcie.

Z fotela podnosił się właśnie starszy człowiek, bardzo przystojny mężczyzna, na którego widok kobietom brakowało przez chwilę tchu w piersiach.

Coś nieuchwytnego… jego wzrost, sposób, w jaki się trzymał, szerokość ramion, to, jak jego ciało prostowało się, kiedy wstawał z krzesła, żeby się z nią przywitać – to było jak bajka. Jakby patrzyła na Jonathana za trzydzieści lat. Ten mężczyzna był taki jak on, a jednak inny.

Ukłonił się.

– Panna de Ballesteros, jak sądzę?

– Pan Isaiah Redmond, jak mniemam?

Jeśli go zaskoczyła, nie okazał tego po sobie. On także ma zielone oczy.

– Zastanawiałem się, czy moglibyśmy zamienić parę słow. Usiądziesz ze mną? To nie zajmie dużo czasu.

Weszła ostrożnie do pokoju, śledząc go nieufnie wzrokiem, jakby był wilkiem. Teraz wiedziała trochę więcej o ludziach jego pokroju. Nieporuszeni wielcy tego świata. Budowniczy i niszczyciele.

Usiadła wdzięcznie na krześle naprzeciwko niego, składając ręce na kolanach. Spojrzała na niego wyczekująco. Oddychaj, Tommy.

– Jak rozumiem, wzięłaś mego syna za kochanka.

Jak uderzenie.

Minęła chwila, zanim odzyskała oddech; z pewnością to zauważył. Należał do takich, którzy widzą wszystko. Było za późno, żeby bronić Jonathana czy zaprzeczać.

– Obawiam się, że błędnie pan pojmuje naturę naszego związku, panie Redmond. – Głos jej nie zadrżał; była z siebie dumna.

– Och, wątpię.

Miał zbyt wiele doświadczenia w tej dziedzinie. Mógł ją przejrzeć z łatwością.

– Ciekawa jestem, dlaczego to pana interesuje? – zapytała uprzejmie, niemal obojętnie. Była zachwycona swoim chłodnym tonem, wziąwszy pod uwagę, że dłonie jej zwilgotniały.

Zamyślił się. Albo dla efektu, albo naprawdę zbierał myśli.

– Czy masz rodzinę, panno de Ballesteros? Matkę, ojca, rodzeństwo? Ludzi, których kochasz i którzy ciebie kochają?

W ten sposób przekręcał ostrze w ranie. Musiał skądś wiedzieć, że nie ma nikogo. Rozmawiał z księciem? Wiedział?

Oddychała szybko. Czuła narastający żar na policzkach.

Był zadowolony, że odpowiedziała milczeniem.

– Ponieważ, jeśli nie masz nikogo, nie wiem, czy potrafisz zrozumieć, co rodzina znaczy dla Jonathana ani co on znaczy dla rodziny. Jeśli ożeni się niewłaściwie, wszystko, na czym mu zależy, zostanie mu odebrane – dom, rodzina, przeszłość, dziedzictwo. Nie tylko to, ale także, jeśli ożeni się z osobą innej klasy niż on sam, straci możliwości awansu i koneksji dostępne dla młodego człowieka jego pozycji i majątku. Mówiąc wprost, skaże się na biedę. Może nie od razu będzie biedny, ale z czasem z pewnością tak. Zapewniam cię. Ktoś taki jak Jonathan nie porzuca po prostu wszystkiego, co zna i posiada.

Paznokcie Tommy wbijały się coraz głębiej w jej dłonie, przypominając o konieczności zachowania zimnej krwi. Patrzyła na niego ze zdumieniem.

– Pan w ogóle nie zna swojego syna – stwierdziła powoli, dając ujście swojemu zdziwieniu. – Ogromnie go pan nie docenia. I wkrótce może pan tego pożałować.

Zaczynała się zastanawiać, czy wszyscy mężczyźni o zielonych oczach to dranie.

Coś w jej tonie – opanowanie, pewność siebie – sprawiło, że się zawahał. Przyglądał jej się ciekawie przez chwilę. Jonathan miał rację. Oto miała przed sobą kolejnego człowieka, jak jej własny ojciec. Ledwie raczył ją zauważać. Niewarta jakichkolwiek emocji.

– Och, w to także wątpię – powiedział w końcu, dość swobodnie. – Oto, co chciałem ci powiedzieć. Jeśli leży ci na sercu szczęście mego syna, przestaniesz się z nim spotykać i pozwolisz mu odzyskać przyszłość, która jest mu przeznaczona. Jest promienna i ma szansę być szczęśliwy; jeśli pragniesz jego szczęścia, z pewnością pozwolisz mu odejść. Ponieważ, jeśli nadal będzie ciągnął wasz, powiedzmy, związek, zostanie odcięty od swojej siostry, brata, matki, dziedzictwa i praw przysługujących z tytułu urodzenia. To absolutnie nie podlega negocjacjom, panno de Ballesteros. Dopilnuję, żeby tak się stało. I wierz mi, mam władzę, żeby sprawić, że tak się stanie.

Walczyła teraz o każdy oddech. Jakże nienawidziła ludzi takich jak on. Którzy mieli pieniądze, żeby znęcać się nad innymi i kształtować dzięki temu świat na swoją modłę.

Była przysłowiowym gwoździem wystającym z deski, a on myślał, że może ją wbić młotkiem na miejsce.

– Czy nie groziłeś innemu synowi, panie Redmond, czymś bardzo podobnym? Powiedz, czy ów syn zje dziś wieczorem kolację przy twoim stole? Czy zobaczysz go jutro, pojutrze, następnego dnia? Czy też, w istocie, zniknął zupełnie?

Patrzyła, jak w Isaiahu Redmondzie narasta furia. W sposób subtelny, ale

widoczny i fascynujący. Jego wściekłość, jak zauważyła, miała temperaturę lodu. Nigdy nie straciłby panowania nad sobą w jakiś brzydki sposób. Zesztywniał, napinając szczękę, jego oczy nabrały barwy popiołu.

I w tym momencie pokochała swoją władzę wprawienia kogoś takiego jak on we wściekłość. Jedynym sposobem, w jaki można było tego dopiąć, było poznanie jego słabości.

– Nie zobaczysz ani grosza z pieniędzy rodziny Jonathana, panno de Ballesteros. Nie martwiłbym się jednak. Takie kobiety jak ty zawsze lądują na cztery łapy. Czułem po prostu, że jako ojciec mogę odwołać się do uczuć, którymi podobno darzysz mojego syna. Nie ma z tobą przyszłości i powinnaś go uwolnić teraz, zanim szkoda się dokona. Ponieważ, nade wszystko, nie chciałbym widzieć jego cierpienia.

Tak. Jestem pewna, że kierują tobą tak altruistyczne motywy, pomyślała Tommy.

Uniosła dumnie brodę. Nie będę płakać, nawet z wściekłości, przed tym człowiekiem.

– Słusznie, że pan się o mnie nie martwi, panie Redmond. I czyż nie dobrze się składa, że Jonathan wybierze wkrótce żonę z talii kart? Czyż kobiet z dobrych rodzin nie da się niezauważalnie wymienić jedna na drugą? Każda podobna do drugiej, więc jego szczęście jest zagwarantowane, o ile sprosta pańskim wymaganiom. Z pewnością nie będzie cierpiał, póki pan będzie zadowolony. Może pan się uspokoić. Nigdy nie pozowałam do żadnej talii kart.

Uśmiechnął się lekko.

– Cieszę się, że się rozumiemy, panno de Ballesteros.

Wstał i spojrzał na nią jeszcze raz, przeciągle. Jakby chciał ją zapamiętać.

A potem skłonił się i wyszedł bez słowa.

Tamtego popołudnia Jonathan wbiegł po schodach, wpadł do domu, zrzucił kapelusz i poluzował krawat.

– Ty na górze! – oznajmił wesoło i skoczył ku niej.

Roześmiała się, nic nie mogła na to poradzić, kiedy porwał ją w ramiona, podtrzymując dłońmi jej pośladki. Objęła go nogami w pasie i ramionami za szyję, a on przewrócił się na plecy na kanapę.

– Pocałuj mnie – polecił szeptem, podczas gdy ona rozpinała guziki jego spodni, a on ściągał jej suknię, gładząc czułe wnętrza ud nad jej pończochami. Jego usta gorące i słodkie były jak opium. Była w nim jakaś dzikość, gwałtowność, która się wcześniej nie ujawniała.

Kołysali się razem, chciwi rozkoszy, która jak wiedzieli, za parę chwil miała się

stać ich udziałem.

Ich krzyki zmieszały się ze sobą. Wsunął głowę pod jej podbródek.

Czuła każdy ruch jego wznoszącej się i opadającej piersi, chłonęła jego oddech.

Wsunęła palce w jego włosy. Miękkie jak u chłopca. Ciemne i lśniące.

Jego włosy, jeśli już nie co innego, mogły doprowadzić ją do płaczu.

Wysunęła się z jego ramion i poprawiła sukienkę; usiadła obok niego na kanapie, kładąc ręce na kolanach.

Nie patrzyła na niego.

Patrzył na nią zdziwiony, z oczami wciąż rozmarzonymi z miłości, zaskoczony, że była gotowa już się podnieść.

Wciągnęła powietrze, żeby dodać sobie odwagi. A potem zwróciła się do niego.

– Jonathan… muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzała na niego.

Jego oczy straciły rozmarzony wyraz, stały się czujne. Przyglądał jej się uważnie.

Dzielnie zniosła to badanie.

A potem zmrużył oczy.

– Mój ojciec – parsknął. – Mój ojciec z tobą rozmawiał.

Była zaszokowana.

– Skąd…? Nie.

– Nie kłam, Tommy. Wiem, że to prawda. To do niego podobne. I znam spojrzenie kogoś, kogo dosięgnął Isaiah Redmond. Czego on chciał, do diabła? Chciał, żebyś ode mnie odeszła?

Zapinał spodnie. Szybkimi, gwałtownymi ruchami.

– Jonathan – próbowała cicho. – Niezależnie od tego, co o nim myślisz… on ma rację. Znienawidzisz mnie. Ponieważ on zamknie przed tobą wszystko, co kochasz, jeśli ze mną zostaniesz; społeczeństwo, jakie znasz, odrzuci cię i stracisz możliwości, jakie mógłbyś mieć.

– Kocham ciebie.

Och, słowa. Cenne słowa. Kocha go. Kocha go.

Zamknęła oczy.

– Kochasz mnie, Tommy. Wiem, że tak jest. Powiedz to.

– Co to za różnica, Jonathanie?

– Powiedz to!

– Jonathan…

– Nie rób tego Tommy. Jeszcze nie. Jeszcze nie.

– A zatem kiedy? W przeddzień twojego ślubu z lady Penelope Worekzłota?

Nie, lepiej skończmy to teraz.

– Ty się boisz.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Teraz to ją ogarnęła wściekłość.

– Do diabła, masz rację! Boję się! Że nigdy nie będę miała niczego na stałe, co będę mogła uważać za swoje, że powtórzę życie mojej matki, że zobaczę, jak żenisz się z inną kobietą, świadomości, że ktoś inny śpi obok ciebie w nocy! Boję się! Boję się, że mnie znienawidzisz, bo jeśli wybierzesz mnie, podczas gdy wszystko inne, co kochasz, zostanie ci odebrane…

Chcę wybrać, jak i kiedy dotknie mnie cierpienie. I wybieram – teraz, a nie później. Teraz, kiedy moja duma nie cierpi i mam inne możliwości.

Znieruchomiał.

– Jakie możliwości? – Głos miał niski i napięty.

Wciągnęła powietrze, wiedząc, że wbije mu sztylet w serce.

– Lord Prescott poprosił mnie o rękę.

Przyjął te słowa jak cios. Widziała, jak drgnął silnie. Potrząsnął głową.

– Prescott? Ale…

– On mnie chce, Jonathanie. W taki sposób, jak ty. I to jest widocznie cena, jaką jest skłonny – i zdolny – zapłacić.

Jonathan przeżywał to, co usłyszał.

– Prescott. Prescott dał ci perły.

Nie zaprzeczyła.

– Co mu dałaś w zamian?

– To niegodne ciebie, Jonathanie. Nic mu nie dałam i wiesz o tym. Ale ważne, czego on chce.

– Czego on chce?

– Pomyśl. Jeśli mnie kochasz, wolisz, żebym żyła z dnia na dzień, jak teraz, w tym domu, czy też względnie bezpieczna, w komforcie – mając, to, co twoja siostra czy lady Grace Worthington zawsze będą miały? Dlaczego ja także nie miałabym tego mieć?

– Nie chcesz wyjść za niego.

– Oczywiście, że nie, ty ośle!

To zaszokowało ich oboje.

Ale teraz była bliska łez z wściekłości, poczucia bezsensu i gniewu.

– No i już wiesz. Moje możliwości. Jeśli nie liczyć możliwości, że jutro się wzbogacimy. Ale jeszcze się nie udało, prawda, Jonathanie?

– Nie – odparł. – Ale się uda. Nie rób tego, Tommy. Nie teraz. Nie musisz tego robić teraz.

– Dał mi czas na odpowiedź do końca miesiąca.

Zamknął oczy.

– Matko Boska.

A potem zaklął paskudnie.

Drgnęła.

– Jonathan… Tylko pomyśl. Chcesz tak żyć, odcięty od wszystkiego, co jest ci drogie? Czy chcesz, żebym ja wiecznie żyła tak jak teraz? Chcesz tego?

Nie mogła tego znieść. Poruszał się, jakby się poparzył; ubierał się z wściekłością, wbijając ręce w rękawy, zawiązując krawat, jakby to była pętla dla jego ojca.

Stał, wpatrując się w nią. Pożerając ją wzrokiem.

– Mój ojciec nie wygra, Tommy. Ja wygram. – Powiedział to spokojnie, opanowanym głosem. Z przekonaniem, z jakim składa się przysięgę, pieczętując ją krwią. – Dostanę wszystko, czego chcę. I ty także. Musisz tylko zdecydować, czy mi ufasz. I czy kochasz mnie bardziej, niż boisz się przyszłości.

Patrzyli na siebie w milczeniu, gniewnie, wyczekująco.

Strach. Jakże nienawidziła, kiedy ją o to oskarżano. Ale nie była gotowa do podjęcia decyzji w tej chwili, kiedy strach przed bólem utraty dominował nad wszystkim innym. Ponieważ tego nie mogła znieść.

– Lepiej już idź – powiedziała łagodnie. – Wolę, żebyś teraz poszedł.

Zamknął oczy. A kiedy je otworzył, wyraz jego twarzy sprawił, że o mało nie powiedziała:

Wszystko cofam. Nie odchodź. Nie odchodź. Nigdy mnie nie zostawiaj.

Nie poruszył się. Był napięty jak zaciśnięta pięść.

Powiedziała więc:

– Szukasz czegoś, czym można by rzucić?

Nie znalazł niczego, czym mógłby rzucić. Znalazł jednak coś, co można było kopnąć.

Drzwi. Mocno. Kiedy wychodził.

13

W następnych dniach Jonathan wrócił do rezydencji Redmondów przy St. James Square, jakby nigdy jej nie opuszczał. Przy stole był uosobieniem uprzejmości i elokwencji.

Ojciec nie zadawał żadnych pytań. Jeśli rzucił jedno lub dwa przeciągłe, badawcze spojrzenia w stronę Jonathana, szukając oznak rebelii bądź złamanego serca, Jonathan tylko uśmiechał się niewinnie.

Nie wygrasz, ojcze. Ja wygram.

Ta myśl towarzyszyła mu uporczywie, kiedy podawał ojcu marmoladę, golił się rano, kiedy kładł wieczorem głowę na poduszce. Była w powietrzu, którym oddychał.

Zachowywał się tak nienagannie, że Isaiach wyruszył znowu do Sussex, żeby zająć się interesami.

Jonathan odwiedzał drukarnię, żeby śledzić zamówienia, przeglądać matryce, ślęczeć nad książkami. Kobiety i mężczyźni zaczęli zamawiać karty ze swoimi własnymi podobiznami. Ponieważ to były pojedyncze zlecenia, wymagające przygotowania unikalnych matryc, Klaus z radością nakładał wygórowane ceny. Ach, pieniądze wyrzucała na brzeg rzeka próżności, grubą wstęgą przecinająca Londyn!

Jonathan także zamówił szczególną talię.

– Potrzebuję jej szybko, Wyndham. Do czasu nim Diamenty Czystej Wody będą gotowe.

A potem pewien naukowiec wyraził życzenie opublikowania książki z barwnymi tablicami anatomicznymi i Klaus nie posiadał się ze szczęścia na myśl o rysujących się możliwościach. Wkrótce potem wydawca zamówił u Klausa ilustrowaną, limitowaną edycję sławnych *Dzienników z mórz południowych* Milesa Redmonda. Klaus zbudował dwie kolejne prasy i wynajął, za godziwą opłatą, drugiego pomocnika, młodego człowieka z domu pracy Bethnal Green, o imieniu William. A szybki i bystry Charlie miał wkrótce być w stanie wykonywać trudniejszą pracę niż zamiatanie i bieganie na posyłki.

I w każdej chwili, z każdym krokiem, Jonathan zmierzał uparcie do wytyczonego celu.

A kiedy jego inwestycja w ładunek jedwabi w końcu przyniosła owoce – w postaci potrójnego zysku w stosunku do włożonych pieniędzy – Jonathan Redmond uświadomił sobie, że jest, całkiem niezależnie od pieniędzy rodziny, bogaty. Skromnie, owszem.

Z pewnością nie tak jak Isaiah Redmond.

Na razie.

Ale to były jego pieniądze.

Wykorzystał je, żeby spłacić inwestycję Tommy. Nie stała się bogata, ale teraz mogła dokonywać wyborów, na czym jej tak naprawdę zawsze zależało.

Sprawiło mu ogromną satysfakcję, że to właśnie on zapewnił jej wygodę i bezpieczeństwo. Jeśli nie chciała już mieszkać w domu z drewna na opał, z pewnością nie musiała. Jeśli nie chciała poślubić człowieka z tytułem, nie musiała.

Jeśli w ogóle nie chciała wychodzić za mąż, nie musiała tego robić.

Wpłacił jej udział na rachunek i posłał jej wiadomość, dodając:

Chciałaś wyborów. Teraz masz ich wiele.
PS Nie rób niczego pochopnie.
J

Nie był to liścik miłosny. Ale nie zamierzał błagać. Jeśli mu ufała, nie powinna popełnić żadnego głupstwa, jak wyjazd z Londynu czy poślubienie wicehrabiego.

A potem udał się z wizytą do radcy prawnego.

Romulus Bean, Esquire.

Szyld chybotał się z lekkim wiatrem. Jego biura mieściły się raczej w skromnym miejscu, jak na człowieka, który skazał Isaiaha Redmonda i księcia Greyfolk na bezsenne noce z powodu niezaspokojonej chciwości.

Jonathan wydmuchnął powietrze. Wszedł po schodach i otworzył drzwi.

Maleńkie biuro miało oszczędne, ale eleganckie umeblowanie i lśniło czystością. Pan Romulus Bean siedział za biurkiem, podobnie jak jego gabinet, był nieduży i schludny; okulary zsunęły mu się na czubek nosa, a parę włosów, które mu zostały, trzymały się jego głowy jak morscy rozbitkowie tratwy.

Jonathan skłonił się.

– Proszę wybaczyć najście, panie Bean, ale miałem nadzieję, że poświęci mi pan chwilę.

Pan Bean poprawił okulary i zerknął na Jonathana. Najwyraźniej aprobując jego ubiór, akcent, postawę.

– Nazywam się Jonathan Redmond.

Przez twarz mężczyzny przemknął cień ironii.

– Czy jest pan spokrewniony z… panem Isaiahem Redmondem?

Powiedział to ostrożnym, dziwnie beznamiętnym tonem. W sposób, który wydawał się odzwierciedlać uczucia Jonathana do ojca.

– Tak, ale on nie wie, że tu jestem. Jestem tutaj w swojej własnej sprawie.

– Ach. Zechce pan usiąść, panie Redmond. Jaka jest zatem natura pańskiego zapytania?

Jonathan usadowił się na krześle naprzeciwko.

– Rozumiem, że jest pan radcą prawnym, który zajmuje się sprzedażą fabryki bawełny z Lancaster.

– W istocie.

– Chciałbym ją kupić.

Pan Bean zamilkł, jakby go nakryto kloszem.

A potem powoli, roztargnionym gestem zaczął kręcić szklanką wody na biurku. Skręcając ją w tę i tamtą stronę. W tę i tamtą.

– Mam paru kupców zainteresowanych tą własnością, panie Redmond. Na czym dokładnie polega pańska oferta? Na przykład plany na przyszłość?

Podczas swojego przydługiego milczenia pan Bean widocznie postanowił być miły i uprzejmy, to przynajmniej było jasne. Nie wierzył ani przez chwilę, że Jonathan posiada odpowiedni kapitał.

– Proponuję część zapłaty w gotówce, część w procentowym udziale w moim przedsiębiorstwie drukarskim, a resztę w regularnych spłatach. Mogę dostarczyć świadectwo moich zarobków i wiarygodną prognozę przyszłych dochodów.

Nastąpiła chwila ciszy.

– Spłaty. – Pan Bean wymówił to słowo delikatnie. Jakby nigdy w życiu nie miał do czynienia z kimś, kto musiałby się uciekać do czegoś tak plebejskiego jak spłaty. Ale w jego tonie nie brakowało sympatii. Wyglądał na kogoś, kto chętnie spojrzałby na zegar, żeby ponaglić Jonathana, ale był na to zbyt dobrze wychowany.

– Moje plany polegają albo na całkowitym zarzuceniu pracy dzieci, albo wprowadzeniu poważnych zmian. Przede wszystkim postaram się wyszkolić dzieci w pożytecznych, życiowych zajęciach, znaleźć dla nich domy albo praktykę w zawodzie i zatrudnić dorosłych.

Pan Bean odchylił się powoli na krześle.

Znieruchomiał. Zamyślił się.

– Nawet dla dziewcząt? – zapytał szorstko.

– Oczywiście.

Pan Bean znowu pochylił się do przodu. Zacisnął wargi. Znowu zaczął kręcić szklanką, coraz mocniej, działając Jonathanowi na nerwy. Miał ochotę wyciągnąć rękę i unieruchomić dłoń Beana.

Za późno. W końcu szklanka zachwiała się i przewróciła, woda rozlała się dookoła.

Jonathan odskoczył.

Pan Bean zerwał się na równe nogi.

– Dobry Boże, proszę wybaczyć, panie Redmond! To tylko…

– Proszę się nie martwić. To tylko woda.

Jonathan wyciągnął chusteczkę i podał ją panu Beanowi, który, zaczerwieniony i speszony, potulnie wycierał przez chwilę wodę.

Starannie złożył chusteczkę we czworo.

– Proszę wybaczyć, że zamoczyłem… – Podciągnął okulary na nosie. Przesunął kciukiem po rogu chusteczki.

Podniósł powoli głowę. Miał dziwny wyraz twarzy.

– Czy zrobiłby pan coś dla mnie, panie Redmond?

Pocałuję cię w usta, jeśli sprzedasz mi fabrykę.

– Co takiego?

– Czy powie pan – odchrząknął i zaintonował – „zostawcie go, przeklęci dranie!”. Wściekłym tonem?

Jonathan zamrugał.

– Przepraszam… cóż, skoro pan nalega. – Zostawcie go…

Przerwał.

Ponieważ właśnie go olśniło.

– To ty! – wykrzyknęli jednocześnie. Z radością.

– Uratowałeś mnie przed tymi łajdakami! – Pan Bean nie posiadał się ze szczęścia.

– To ty byłeś tym człowiekiem przed Pod Śliwką i Gruszką, którego napadły te… przeklęte dranie!

– Przeklęte i cuchnące! – wykrzyknął radośnie pan Bean.

– Koszmarnie cuchnące!

– Dałeś mi swoją chusteczkę! Całą zakrwawiłem!

Jonathan w milczeniu, ceremonialnie, podwinął rękaw koszuli.

– A mnie została ładna mała blizna od noża. Robi wrażenie na damach.

Pan Bean podziwiał chwilę szramę, potem usiadł wygodnie rozpromieniony, kiwając głową z niedowierzaniem.

– Najdziwniejsze w tym wszystkim, panie Redmond, że ukrywałem powody, dla których ociągałem się ze sprzedażą fabryki pewnym osobom, a to… z tych właśnie powodów, które wymieniłeś. Ten zakład to dla mnie moralne brzemię. Nienawidzę wykorzystywania pracy dzieci. A jedyny sposób, żeby dzieci były traktowane bardziej po ludzku, że coś się w tej dziedzinie zmieni, jest taki, żeby ludzie przejęci pasją i wpływowi zaczęli walczyć o lepsze prawa. Ciekaw jestem – pochylił się w przód – czy rozważałeś możliwość brania udziału w wyborach parlamentarnych, panie Redmond? Mocno podejrzewam, że zdobyłbyś spore poparcie. Wydajesz się posiadać śmiałość polityka. Uratowanie mi życia to świetna historia – wiele mówiąca o charakterze, zgodzisz się ze mną? Z pewnością nazwisko Redmond ma dużą wagę, a ty posiadasz niezaprzeczalnie znakomitą prezencję.

Miał „niezaprzeczalnie znakomitą prezencję”, hm?

Teraz Jonathan rozparł się na krześle, przyglądając się panu Beanowi.

– Mówiono mi, że mam pewne cechy, które mogą mnie rekomendować.

Zamknął oczy. Myśl zapadała, lśniąc jak gwinea, w studnię jego umysłu.

Wiedział, po prostu wiedział, tak jak wiedział zawsze, że ta myśl jest doskonała i właściwa. Ogarnął go dziwny spokój.

– Myślę, panie Bean… że właśnie powiedziałeś coś niezmiernie istotnego.

– Wspaniale. Nie mogę się doczekać, żeby cię poprzeć w następnych wyborach, panie Redmond.

Jonathan uśmiechnął się szeroko.

Przez chwilę siedzieli w przyjaznej ciszy.

– Cóż – odezwał się w końcu pan Bean, postukując palcami w blat. – To niezwykłe. Nie wiesz, jak bardzo tęskniłem za okazją, żeby podziękować mojemu wybawcy.

Jonathan odchylił się na krześle, zakładając ręce za głowę.

– Powiedz mi, proszę, panie Bean… jak wielka jest twoja wdzięczność?

14

Noc przed ukazaniem się w sklepach talii kart Diamenty Czystej Wody okazała się bezsenna dla setek przedstawicieli dobrego towarzystwa.

Wszystkie młode damy, które pozowały dla Wyndhama, wpatrywały się w napięciu w sufit, modląc się, żeby to nie lady Grace Worthington została wybrana, tylko one.

Lady Grace Worthington nie spała całą noc, usiłując zdecydować, ile talii powinna zakupić, ponieważ nie wątpiła, że będzie w niej figurować. Objęła się ramionami, zadowolona, wyobrażając sobie swoją twarz w Almacku i każdym dobrym domu w Anglii.

Dziesiątki młodych mężczyzn martwiło się o zakłady, jakie poczynili w *Księgach Zakładów* u White'a, odnośnie do tego, które młode damy zostaną uwiecznione w kartach. I którą wybierze Redmond, jeśli w istocie zamierzał to zrobić.

Tuż przed świtem Charlie, Klaus i nowy pomocnik Klausa, William, zaczęli załadowywać wóz pod osłoną mroku. Dostawa do sklepów w całym Londynie, zwłaszcza do Burlington Arcade, musiała się zakończyć przed otwarciem.

A każdy z nich się zastanawiał: czy Jonathan Redmond naprawdę wybierze żonę z talii kart?

A w Rezydencji Ludzi o Wątpliwych Profesjach Tommy de Ballesteros także nie zmrużyła oka i to nie tylko dlatego, że Rutheford był w domu i podejmował damę, która musiała być tych samych rozmiarów co on, na co wskazywała intensywność stukotu i łomotania. Rytmicznego łomotania. Usiłowała sobie tego nie wyobrażać, a potem ogarnęła ją zawiść, poczucie samotności, dojmującego smutku i strachu.

Ponieważ wiedziała, że to dzisiaj karty z Diamentami Czystej Wody powinny znaleźć się w sklepach.

I dzisiaj, jak głosiła plotka, Jonathan Redmond miał wybrać żonę z talii kart.

Kiedy przewracała się i wciągała powietrze, wciąż wyczuwała jego słaby zapach na poduszce. Albo tak sobie wyobrażała. Podniecona tą myślą zerwała się z łóżka i

usiadła na jego krawędzi, wpatrując się w smugi księżycowego światła na podłodze. Wsunęła w nie stopy, jakby były niosącym ukojenie strumieniem.

Potrzebowała ukojenia. Dla niej to także był ważny dzień.

Ponieważ podjęła decyzję co do Jonathana i Prescotta.

Nie zawiadomił rodziny, że wyjeżdża z Londynu do Pennyroyal Green. Po prostu spędził cały dzień na koniu, ciesząc się rześką pogodą, okazją, żeby pogalopować i przemyśleć swój plan.

Przed rezydencją Redmondów zeskoczył z konia, oddał wodze stajennemu i wbiegł po schodach do domu, wręczając za drzwiami płaszcz i kapelusz czekającemu kamerdynerowi.

Przystanął tylko, żeby wygładzić włosy przed lustrem, strzepnąć kurz z butów, a potem wbiegł po marmurowych schodach, po dwa stopnie, do biblioteki ojca.

Ojciec siedział wygodnie przy ogromnym lśniącym biurku, w brązowo-kremowym zaciszu biblioteki, pochylając się nad papierami rozłożonymi na całej szerokości blatu. Jonathan dostrzegł rzednące włosy na czubku jego siwej głowy. Przez chwilę go to poruszyło. Isaiah Redmond nie jest zatem niezniszczalny. Wystrzępi się, pomnie i obróci w pył, jak wszyscy.

To przekonanie tylko wzmocniło postanowienie Jonathana.

Nie ruszał się chwilę, obserwując ojca w promieniach słońca z wielkiego okna; nie spodziewając się nikogo, ojciec zagłębił się w pracy, lekko marszcząc brwi. Pewnie wciąż się dziwił, dlaczego Romulus Bean nie sprzedał mu fabryki, ale nie martwiąc się tym: znajdzie sposób, żeby dostać to, czego chce, tak jak zawsze.

Jonathan zastukał w otwarte drzwi i głowa ojca podniosła się gwałtownie.

W jego oczach błysnęło zaskoczenie. A potem przez chwilę coś, co mogło być zmieszaniem.

– Cóż! Co mogę dla ciebie zrobić, Jonathanie? Czy przybyłeś, żeby mnie uczynić najdumniejszym człowiekiem na ziemi, oznajmiając, że wylosowałeś narzeczoną z talii kart?

– To istotnie ten dzień – odparł Jonathan spokojnie, wcale niezdziwiony, że ojciec wie. – Uznałem jednak, że może sprawiłoby ci przyjemność samemu to zrobić. Ponieważ to od ciebie wyszedł ten pomysł.

Wsunął dłoń do kieszeni i wyciągnął karty. Pokazał ojcu.

Na to ojciec najwyraźniej nie był przygotowany. Spojrzał na syna zdumiony.

– Jonathan… Doprawdy…

Nieproszony Jonathan podszedł do biurka i przysunął sobie krzesło. Ojciec szybko zgarnął dokumenty, jakby w obawie, że karty je zbrukają, ale nie wcześniej,

niż Jonathan zdążył zauważyć słowa na górze jednego z dokumentów: „Oferta Mercury Club w sprawie kupna fabryki w Lancaster”.

Jonathan podsunął talię ojcu.

– No dalej, ojcze. Odwróć pierwszą kartę. Ponieważ ta dama zostanie moją żoną.

Ojciec odwrócił wzrok, spoglądając znacząco na zegar za plecami, potem westchnął przeciągle i cierpiętniczo uniósł brew, delikatnie chwycił kartę z wierzchu i odwrócił ją.

Królowa Kier spoczęła na biurku.

Milczeli.

– Piękne kolory, nieprawdaż – odezwał się Jonathan zachęcająco. Kiedy wydawało się, że ojciec nie przemówi.

– Całkiem niezłe – odparł Isaiah nieobecnym tonem. Wydawał się pochłonięty obrazem na karcie.

Jonathan patrzył, jak na twarz ojca z wolna wypływa wściekłość. Ręce mu się trzęsły. Rysy nabrały twardości granitu.

Ojciec podniósł powoli na niego wzrok.

– Co to ma, do diabła, znaczyć? – W każdym słowie brzmiała zimna furia.

– Nazywa się Thomasina de Ballesteros. Ale to już wiesz, bo uciąłeś sobie z nią krótką pogawędkę. Tutaj to jest, właśnie tutaj – Jonathan postukał w kartę – wypisane na dole drobnym drukiem. Zamierzam ją poślubić. A ty ją pokochasz. Ponieważ ja ją kocham.

Usta ojca drżały z wściekłości. Minęła chwila, zanim zdołał wydobyć z siebie chrapliwe słowa:

– Jak śmiesz…

Jonathan podniósł rękę.

– Powtarzam: pokochasz ją. Będziesz ją przyjmował w tym domu. I wpuścisz Cynthię Brightly w te progi. I ją także pokochasz, bo ja ją kocham, Miles ją kocha i Violet ją kocha. Bo to ty, ojcze, wywołałeś zamęt i podziały w tej rodzinie. Ty, który sprowadzasz na siebie nieszczęście, usiłując osiągnąć szczęście. Dla siebie, nie dla swoich dzieci. Dla siebie. A jedyną rzeczą, która się liczy w życiu, jest to, żeby mieć kogo kochać. Z pewnością gdzieś, w głębi duszy, jesteś tego świadomy.

Szczęka ojca opadła.

Ale zaraz zamknął ją z powrotem. Syczał ze złości.

– Jak śmiesz mówić do mnie w ten sposób? – Ten ton głosu przerażał Jonathana w dzieciństwie. – Jeśli poślubisz tę dziewczynę, nie dostaniesz ani gro…

– A co do mojej pensji – ciągnął gładko Jonathan, jakby ojciec w ogóle się nie odezwał – znajdziesz na swoim koncie całość sumy, którą mi wypłacałeś przez

ostatnie dwa lata. Podwoiłem swój majątek w ciągu roku. W przyszłym roku zamierzam go potroić. Ale jeśli obchodzi cię, w jaki sposób, to wiedz, że kupiłem fabrykę w Lancaster. Usiedliśmy wczoraj z radcą prawnym, panem Romulusem Beanem i dopełniliśmy formalności. Dyskutuję także z panem Beanem na temat zakupu współwłasności w fabryce bawełny w Northhampton. Nie wezmę od ciebie więcej ani grosza. Ale chętnie porozmawiam z tobą na temat możliwości inwestycji, ponieważ zakładam własną grupę inwestycyjną. Jednym z priorytetów grupy jest pomoc w zapewnieniu funduszy na kolejną wyprawę Milesa.

– Ty… żartujesz.

Jonathan westchnął.

– Możesz napisać do pana Beana, żeby się upewnić, ale mam przy sobie dokument… – Wyciągnął papier z kieszeni, kieszeni horroru w oczach ojca, i pchnął go po biurku – …tutaj.

Ojciec ostrożnie przysunął dokument do siebie i zerknął w dół.

Znowu spojrzał na Jonathana; twarz miał nieprzeniknioną.

Jonathan przykrył papier dłonią i zabrał.

– Wezmę to, dobrze? A wiesz, dlaczego mi go sprzedał? Traf sprawił, że uratowałem go przed jakimiś bandziorami na ulicy. Przed kasynem. Miałem, oczywiście, pieniądze dzięki poprzednim inwestycjom, inaczej pan Bean nie zechciałby w ogóle ze mną rozmawiać. Inwestowałem w jedwabie i podobne rzeczy w ciągu ostatnich dwóch lat. Jak ci mówiłem.

Ojciec oparł się ostrożnie na krześle, jakby nagle stał się kruchy i bał się, że popęka. Wpatrywał się w Jonathana, jakby go nigdy przedtem nie widział.

W pewnym sensie rzeczywiście tak było.

Jonathan sprawił, że ojciec nie miał już powtórzyć tego błędu w przyszłości.

– Jedno co cię być może pocieszy: ojciec Thomasiny naprawdę jest księciem.

Na twarzy Isaiaha pojawił się wówczas błysk. Nadzieja albo zaskoczenie. Prawdopodobnie odruchowa reakcja na słowo „książę” – ojciec marzył o tytule, którym król nieustannie mamił Redmondów i Eversea, a który ciągle pozostawał poza ich zasięgiem.

– Nie możesz jednak nikomu o tym powiedzieć. Jest z nieprawego łoża.

Jonathan bawił się trochę za dobrze.

– Przypuszczam, że powinienem ci powiedzieć, że już mamy dzieci. Setkę czy coś koło tego. Cóż, w pewien sposób.

Ojciec powoli zamknął oczy. Jego wargi poruszały się – być może w modlitwie.

– Jeszcze jedno, ojcze. Może zechcesz stać u mego boku, ponieważ ubiegam się o miejsce w parlamencie, żeby znieść praktykę wykorzystywania dzieci do pracy. I

powziąłem mocne postanowienie, żeby wygrać. Spodziewam się, że kiedy dojdziesz do siebie i będziesz miał czas na zastanowienie, będziesz ze mnie dumny. Wiesz, jabłko nie pada daleko od jabłoni i tak dalej… I rzecz jasna, zdołasz obrócić to na swoją korzyść.

Zielone oczy Isaiaha otworzyły się znowu. Jego ręce leżały płasko na biurku, jakby ziemia zaczęła drżeć, a on chciał ją powstrzymać.

Jonathan wstał.

– I och… może zdałeś sobie z tego sprawę, ale to nie jest talia Diamentów Czystej Wody. To specjalne wydanie. Jedyna talia, z której miałem zamiar losować, jeśli w ogóle.

Jonathan mrugnął do ojca, wsunął Królową Kier do kieszeni. Przysunął krzesło z powrotem i wyszedł z pokoju.

Krótko, szokująco, na temat. Jonathan udoskonalił tę sztukę, grając w rzutki.

Ale, oczywiście, przede wszystkim nauczył się jej od ojca.

Isaiah siedział oszołomiony przez kolejną chwilę, wpatrując się w drzwi.

Potem zaczerpnął głęboko tchu i ostrożnie przysunął talię do siebie. Z przerażeniem stwierdził, że ręce mu drżą.

Odwrócił kartę na wierzchu.

Królowa Karo.

Przyjrzał się uważnie: ta akurat monarchini miała zielone oczy, małe, ukośne ciemne brwi, czerwone włosy i przechylała głowę królewskim gestem. Uśmiechała się dumnie i tajemniczo.

Twarz, której nie można było pomylić z żadną inną.

Ostrożnie, powoli, odwrócił kolejną kartę.

Walet Pik.

Trzymał ją w trzęsących się rękach i się przyglądał. Walet nosił pantalony, ale w sposób skandaliczny, gdyż był wyraźnie kobietą. Czerwone włosy tworzyły węzeł na karku: miał elegancki profil, duże, lekko skośne zielone oko z wyjątkowo długimi rzęsami.

Odwrócił następną kartę.

I jeszcze jedną.

I jeszcze.

Każda z nich, do ostatniej, nosiła wizerunek Thomasiny de Ballesteros.

15

Później poważne gazety miały to opisywać, jako „masowy pęd na Burlington Arcade”. Ślady pozostały do następnego dnia, kiedy pomocnicy kupców, zamiatając, znajdowali kawałki wstążek, skrawki siatek – może oddartych z kapeluszy albo rękawów sukien – rękawiczki, albo nawet pantofelki. Pewna młoda dama skręciła kostkę i musiano ją wynieść. Inna zemdlała, choć być może tylko dla efektu.

Wiedziano tylko na pewno, że niespokojny, kłębiący się tłum na ogół doskonale wychowanej i świetnie ubranej publiczności wlał się do sklepów, żeby porwać talie Diamentów Czystej Wody i domagać się tych, które zamówiono z góry; ze zdumieniem odkryto, że w sprzedaży są dwie różne talie.

Talie Diamentów Czystej Wody otwierano na miejscu – przy akompaniamencie okrzyków radości i wrzasków protestu. Wybuchały gwałtowne sprzeczki i napady płaczu, pieniądze przechodziły z rąk do rąk, gdy wygrywano lub przegrywano zakłady.

W pewnej strasznej chwili, jak głosiła plotka, niejaka lady Grace Worthington wykrzyknęła coś nienadającego się do powtórzenia, kiedy początkowo nie mogła znaleźć swojej podobizny. Szeptano, że pierwsze słowo zaczynało się na „p”, a drugim był „diabeł”.

Potem odnalazła jednak siebie i się uspokoiła.

– A co z Redmondem? Gdzie jest Redmond? – podniosły się wkrótce krzyki. Pozostały jeszcze zakłady do rozstrzygnięcia.

Kupiec poprosił o ciszę.

– Z tego, co wiem, pan Redmond formalnie dokonuje wyboru w trakcie domowej uroczystości w swojej rezydencji w Sussex. Ale o jego wyborze można się dowiedzieć z tej, bardzo ograniczonej edycji kart.

Kupcy wskazali na inną talię za kontuarem i ta także zniknęła natychmiast.

Nastąpiła cisza, podczas gdy przeglądano gorączkowo karty.

Rozległo się szemranie i zgiełk.

A potem cisza, kiedy prawda dotarła do zgromadzonych.

– Ależ ona nie jest nawet blondynką! – zawyła lady Grace Worthington.

Tak, przynajmniej, opowiadano.

A potem poddała się nadmiarowi wrażeń i zemdlała z wdziękiem; wyniosło ją dwóch młodych arystokratów, którzy stracili pieniądze w zakładach i uznali za pociechę sposobność zerknięcia na kostki lady Grace.

Widocznie zasnęła, bo nagle obudziła się gwałtownie, słysząc stukanie do drzwi. Długie stukanie. Długie i skomplikowane.

Jej serce skoczyło jak ptak wypuszczony z klatki.

Wygramoliła się z łóżka, wsunęła ręce w pelisę i pobiegła boso po schodach i przez korytarz, a potem zatrzymała się raptownie.

Pod jej drzwi wsunięto wiadomość – na eleganckim papierze, równiutko złożonym, zapieczętowanym czerwonym woskiem.

Stanęła na czubkach palców i wyjrzała przez judasz. Ani żywej duszy. Otworzyła drzwi na parę cali i wysunęła głowę.

Nic, poza mroczną, niezbyt przyjemnie woniejącą londyńską uliczką. Nawet kot czy szczur nie przechodziły w zasięgu wzroku.

Zamknęła drzwi na klucz, odwróciła się i przywarła do drzwi plecami. Potem ostrożnie podniosła wiadomość. Przesunęła kciukiem po pieczęci – odciśnięto w niej coś, pewnie sygnet – ale w ciemności niczego nie zdołała odczytać.

Serce biło jej tak mocno, że z łatwością tłumiło odgłosy kroków; wróciła do pokoju po skrzypiących schodach i przez korytarz. Ukucnęła przy kominku i spojrzała. Na list.

W czerwonym wosku odciśnięto litery:

JHR.

Musnęła je drżącymi palcami. To mogłoby być jego serce.

Szkoda, że musiała je złamać, żeby zobaczyć, co jest w środku.

Wsunęła delikatnie palec pod pieczęć i rozerwała papier.

Nie było listu. Żadnego wstępu. Było coś, co wydawało się ponumerowaną listą, napisaną literami równie wysokimi, ciemnymi i śmiałymi jak JHR.

1. Przejdź dwadzieścia kroków i skręć w lewo przy budynku z czerwonymi drzwiami.

2. Idź prosto czterdzieści kroków i skręć w prawo.

3. Wejdź po schodach na drugie piętro, obróć się trzy razy, dotknij nosa i przejdź dwadzieścia kroków do przodu.

I tak dalej, i tak dalej.

Parsknęła śmiechem i skoczyła na nogi; jej serce śpiewało z radości. A to bestia! Co on takiego wymyślił?

Zerknęła na dół:

22. Kiedy dojdziesz do powozu, wejdź do środka i zostań tam, póki się nie zatrzyma. W środku znajdziesz wyżywienie piknikowe, żeby ci pomóc spędzić czas.

Rozpakowanie prezentu wewnątrz także ci w tym pomoże.

Po tym, jak skoczyła z mostu do Ouse, powiedział, że nigdy nie widział kobiety, która rozbiera się tak szybko. Teraz pewnie zauważyłby, że nigdy nie widział, żeby jakaś ubierała się tak szybko jak Tommy tego przedpołudnia. Jednak ubrała się starannie. Nie widziała go od trzech tygodni, całą wieczność. Chciała wyglądać wspaniale.

Zamknęła za sobą drzwi i radośnie ruszyła w drogę – labirynt, podobną do tej, którą wiodła go o północy w dniu, kiedy się poznali.

Wąskimi uliczkami, w górę po schodach; jeszcze raz powtarzając trasę.

Uśmiechała się jak lunatyczka.

– Witaj, Tommy! – zawołał Jasper, kiedy mijała go w wąskim zaułku. Opierał się o ścianę.

– Witaj, Jasper!

Myślała o tym, jakie to podobne do Jonathana znaleźć ją bez wysiłku, kiedy go potrzebowała, nie przejmując się jakimś labiryntem. Tak samo, jak bez wysiłku odkrył jej tajemnice. Ale to dlatego, że po prostu urodził się, znając jej sekrety. Należał do niej, a ona do niego. Tak jak do każdego zamka jest tylko jeden klucz.

W końcu, na Drury Lane, znalazła, jak się wydawało nowiutki, lśniący czystością powóz, zaprzężony w cztery piękne siwki.

Woźnica opierał się o bok powozu, z rękami złożonymi na piersi, uśmiechając się promiennie.

Pomógł jej wsiąść.

– Będziemy podróżować przez parę godzin, pani. Rozgość się, proszę.

To nie było trudne; siedzenia były mięciutkie; usadowiła się na nich z westchnieniem. Zobaczyła koszyk, o którym wspomniano w liście. W środku znalazła ciasteczka, chleb i ser, flaszkę z herbatą. Ach! I jeszcze coś.

Maleńka paczuszka przewiązana wstążką.

Rozwinęła ją drżącymi dłońmi.

To był klucz.

Wpatrywała się w niego przez chwilę, zdumiona. Potem zamknęła go mocno w

dłoni, trzymając tak, jak niegdyś medal ojca.

Po godzinie podróży okolica stała się znajoma; wiedziała, po prostu wiedziała, dokąd zmierza. I tak, choć nie była zaskoczona na widok niskiego budynku z czerwonej cegły – fabryki w Lancaster – jej serce waliło jak szalone.

W fabryce panowała cisza; zamknięto ją na wieczór. Za budynkiem na wieczornym niebie ciągnęły się pasma fioletowych i błękitnych chmur, jakby fabrykę udekorowano na przyjęcie.

Woźnica pomógł jej wysiąść.

A potem skinął głową, wskazując, że resztę drogi ma odbyć sama.

W ciszy słychać było szum rzeki za starym młynem. Trzask gałązek poruszanych wiatrem. Echo jej własnych kroków na ścieżce.

Do drzwi przypięto kawałek papieru.

Użyj klucza.

Roześmiana, bez tchu, z drżącymi dłońmi, trochę niezręcznie wsunęła klucz do zamka i przekręciła.

Popchnęła lekko drzwi, otworzyły się bezgłośnie. Zawiasy dobrze naoliwiono.

W środku panowała porażająca cisza. Zajrzała w mroczną głąb; żadnej żywej istoty. Ogromne maszyny przypominały stado uśpionych bestii. Wszystkie dzieci musiały być w sypialni. Odrobina światła wpadała przez wąskie, prostokątne okna.

Na podłodze ustawiono szereg zapalonych lamp wskazujących drogę do biura nadzorcy.

Coś zaszeleściło; cofnęła się o krok. Pod stopami leżała kolejna kartka. Schyliła się i przeczytała:

Idź w lewo dwadzieścia kroków i otwórz drzwi. Idź za lampami.

Odmierzyła owe kroki, jakby szła po linie. Oszołomiona, drżąca, pełna nadziei i radośnie przestraszona. Nie patrz pod nogi, Tommy, przestrzegła się w duchu. Żeby dokonać niemożliwego, należy postępować, jakby to była najbardziej możliwa rzecz na świecie.

Po dwudziestu krokach znalazła się przed drzwiami nadzorcy.

Wciągnęła z drżeniem powietrze, zacisnęła palce na gałce i powoli pociągnęła. Pokój rozjaśniały dwie, rzucające ciepłe światło lampy.

Jonathan siedział na biurku, ze skrzyżowanymi nogami. Ręce złożył za głową. Jak prawdziwy posiadacz. Całkowicie swobodny.

Przez następną chwilę po prostu się sobie przyglądali. Nigdy nie byli w stanie się odezwać, póki nie minęła pierwsza fala radości i pożądania, póki nie odzyskali oddechu i władzy nad rozumem.

Odzyskał je pierwszy.

– Przybyłaś w dobrym czasie. Śpieszyłaś się, żeby mnie zobaczyć, Tommy?

Mówił przeciągle, z miękkością jedwabnego szala, jaki otaczał jego ramiona.

Ale wyczuła w jego głosie lekkie drżenie. I napięcie w ramionach, które wydawały się tak swobodnie krzyżować za jego głową.

Domyśliła się, że wcale nie był pewien, czy przyjedzie.

– Czyż nie widziałam cię niedawno? – odparła cicho. Udając nudę.

Nie uśmiechnął się. Wstał, zsuwając z wdziękiem długie nogi z biurka, i podszedł do niej powoli. Jakby on także stąpał po linie.

Zatrzymał się, patrząc na nią z góry.

– A zatem oto, co mam ci do powiedzenia, Tommy. – Wciąż mówił cichym, łagodnym tonem.

Cóż za niewysłowiona przyjemność znowu słyszeć jego głos. Prawdziwą muzykę miłości.

– Chciałaś mieć wybór. Mam dla ciebie dwa.

Sięgnął do kieszeni kubraka i wyjął kartkę. Trzęsła się lekko w jego dłoni. Wciągnął powietrze, a następnie je wypuścił. A potem podał jej papier.

– To jest akt własności fabryki. Na twoje nazwisko. Krótko mówiąc, fabryka należy teraz do ciebie, jeśli chcesz.

Nagle straciła zdolność myślenia.

I czucie w nogach.

Wzięła ostrożnie dokument. Kartka drżała w jej palcach. Fala silnych emocji nie pozwoliła jej przez chwilę czytać.

Przeczytała jednak. Czytała w ciszy, podczas gdy Jonathan trwał w bezruchu.

Mówił prawdę. Podniosła głowę.

– Ale… jak…?

– Kupiłem ją. A powód, dla którego byłem w stanie to zrobić, jest pośrednio związany z tobą. Mam drugi akt własności – poprosiłem radcę, żeby sporządził dwa – który mówi coś zupełnie innego. Mówi, że fabryka należy do mnie. Wyjaśnię ci to za chwilę. Bo tego dotyczy twój wybór. Najpierw chcę jednak, żebyś wiedziała, Tommy… że wczoraj wybrałem narzeczoną z talii kart.

Cofnęła się. Pod wpływem szoku palce jej zlodowaciały, podobnie jak żołądek. Marzyła, żeby obejrzeć się przez ramię. Żeby uciec. Ale tkwiła w pułapce.

Z pewnością… z pewnością fabryka nie stanowiła przeprosin czy

podziękowania za oddane usługi? Czy to był okrutny żart?

Panika niemal pozbawiła ją oddechu.

– Czy chciałabyś zobaczyć, kogo wylosowałem? – Jego twarz niczego nie zdradzała.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Lodowate zimno ustąpiło gorącu na policzkach. Dobrze. Nie ma niczego, czego nie zdołałaby znieść. Wyprostowała się i podniosła brodę. Wyciągnęła rękę.

Wyjął kartę z prawej kieszeni, a ona odetchnęła, chcąc odzyskać równowagę.

Położył jej kartę na dłoni.

– Spójrz na nią, Tommy – polecił. Kiedy już wydawało się, że nigdy tego nie zrobi.

A zatem spojrzała.

A potem jeszcze raz, uważniej.

To była Królowa Kier. Miała zieloną suknię, tęczówki oczu barwy żywej zieleni, w szarych obwódkach, lekko spiczastą bródkę i delikatne kreski brwi.

Najbardziej uderzały włosy.

– Miedziane i w ogóle – szepnął.

Nie widziała przez łzy.

– Miedziane! – wydusiła z siebie w zachwycie. – Tak.

– Polerowana miedź – dodał triumfalnie, wciąż szeptem.

Roześmiała się drżąco.

– Tak! – zgodziła się szeptem. – Ale… jak…?

Wydawało się, że to jedyne słowa, jakie jest w stanie z siebie dzisiaj wydobyć.

– Zamówiłem talię, Tommy. Wyndham wykonał już twój portret, więc malował z niego. Zmusiłem go do pracy na okrągło przez parę dni. I dopilnowałem, żebyś była jedyną osobą w tej talii. Poza tym możesz kupić karty Thomasina de Ballesteros w Burlington Arcade.

Doszła już do siebie i zaśmiała się.

– Mam nadzieję, że to nam przyniosło ogromny zysk.

Usłyszał słowo: „nam”.

Zrozumiała to, kiedy nagle znieruchomiał, czujny i napięty.

Mężczyzna pełen nadziei, na którą ledwie śmie sobie pozwolić.

Nie mogła dłużej zwlekać. Powinna mu powiedzieć, z czym przyszła.

– Jonathan… – powiedziała z wahaniem. – Ja… Obawiam się, że też mam ci coś do powiedzenia.

Przeżyje chwilę udręki, drań jeden. Zasłużył na to.

Niemal się zlitowała, widząc, jak jego twarz nagle poszarzała i się napięła. On

mnie kocha. On mnie kocha. On mnie kocha. Ta myśl była jak hosanna, jak sama radość. Nie sprawiało jej przyjemności ranienie go.

A jednak małe przedstawienie ich nie zabije. Tortury szybko się skończą.

– Doskonale. Powiedz mi to, co musisz powiedzieć – polecił szorstko. Wciąż napięty, ze zmrużonymi oczami i szarą twarzą. Jak człowiek, któremu mają usunąć kulę z ciała.

– Zamknij oczy i wyciągnij rękę.

Zawahał się, tak jak poprzednio ona. A potem wciągnął powietrze, dodając sobie odwagi, i wyciągnął rękę.

Powoli, ceremonialnie wlała sznur pereł w jego dłoń.

Zamrugał. Spojrzał na perły i lekko zmarszczył brwi.

– Nie… to jest… co to…

– Kiedy włożyłeś pieniądze na mój rachunek, wykorzystałam wszystkie, żeby je wykupić od Exley & Morrow. Jutro odeślę je Prescottowi.

Błysk zrozumienia na jego twarzy był cudowny.

– Uwierzyłaś we mnie – powiedział powoli. – Zaufałaś mi.

– Oczywiście. I kocham cię bardziej niż życie.

Widziała, że jej słowa ugodziły go niczym strzała Kupidyna. Zamknął szybko oczy, jakby broniąc się przed napływem emocji. Ruchem warg pokazał coś, być może: „Alleluja”.

Potem podniósł powieki, jakby nie mógł znieść tego, że jej nie widzi.

– Powiedz to jeszcze raz.

– Kocham cię. – Magiczne, potężne słowa; nigdy nie wyobrażała sobie, że będzie w stanie je komuś powiedzieć.

I proszę, proszę, jak podziałały na Jonathana Redmonda. Jakąż posiadała władzę, która ją samą onieśmielała.

Odzyskał panowanie nad sobą i uśmiechnął się z satysfakcją.

– Oczywiście, że mnie kochasz. Jak mogłabyś się temu oprzeć?

Chwycił ją gwałtownie w ramiona i pochylił się, żeby ją wycałować do utraty zmysłów.

A kiedy je odzyskała, zaczęła się domagać jego dotyku – wszędzie, gdzie dało się jej dotknąć.

– Wyjdziesz za mnie? – zapytał. Szepnął jej to do ucha, zanim dotknął go językiem. Odwróciła głowę, wtulając wargi w jego szyję. Jak szybko biło mu serce. Dla niej. Kocha ją.

– Wyjdę – wyszeptała.

Przesunął dłonie na jej piersi, obejmując je. Pocałował ją znowu i zaczął

rozwiązywać tasiemki sukni.

– Znakomicie. Bo jak już może wspomniałem, kocham cię, Tommy i naprawdę myślę, że bez ciebie zginę.

– Czy to zabije twojego ojca, jeśli się pobierzemy?

Parsknął śmiechem.

– To brzmiało tak, jakbyś miała pewną nadzieję. Ale nie bój się. Mój ojciec także cię pokocha.

– Jak to możliwe? – Zajęła się guzikami jego koszuli.

– Powiedziałem mu, że tak będzie. Och, i będzie. Ponieważ ty i ja, moja ukochana, moja najdroższa Tommy i nasze dzieci, i dzieci naszych dzieci nie tylko weźmiemy w posiadanie kawał Anglii pewnego dnia, ale… będziemy nią rządzić. Zaczynając od tej fabryki. Ta fabryka jest nasza. Zaczniemy od praw dotyczących pracy dzieci. Pozwól, że ci powiem jak.

Podniósł ją na biurko i podwinął jej spódnice, nie odrywając ust od jej warg. Sięgnęła do guzików jego spodni, rozpinając je ze skandaliczną szybkością.

– Dzieci naszych dzieci? – szepnęła.

– Naszych pięknych, genialnych, nieustraszonych, dzielnych, miedzianowłosych dzieci. Powinniśmy mieć co najmniej dziesięcioro. Mam to zagwarantowane przez prawdziwy autorytet.

Chociaż w pewien sposób już mieli ich setki, zgodnie z tym, co powiedział ojcu. W fabrykach w całej Anglii, czekających na ich pomoc.

Tylko sobie wyobrazić. Cyganka miała rację.

– Dziesięcioro? A zatem lepiej zacznijmy teraz. – Tommy była, jak zwykle, praktyczna.

Tak więc – dla dobra Anglii, oczywiście – zaczęli.

I nie skończyli przez parę godzin.

Epilog

W Pennyroyal Green zaobserwowano epidemię sztywnych szyj.

Na ogół parafianie Pennyroyal Green nie musieli się zastanawiać, na co patrzeć podczas niedzielnej mszy – ostatecznie miało się ochotę patrzeć na wielebnego Sylvaine'a, niezależnie od tego, co mówił – i nawet jego budzący powszechne zdumienie wybór małżonki nie wpłynął na spadek frekwencji w kościele.

Ale przez sześć niedziel z rzędu wielebny Sylvaine miał konkurencję, jeśli chodzi o uwagę parafian.

Słuchano i przyglądano się w milczeniu, z fascynacją, wstrzymując oddech. Isaiah Redmond ani nie mrugnął, ani nie drgnął, ani się nie uśmiechnął, kiedy czytano zapowiedzi dla jego najmłodszego syna i niejakiej Thomasiny de Ballesteros – pogańskie imię, kwękali niektórzy. (Na szczęście, żadne wiadomości na temat Tommy nie dotarły jeszcze z Londynu do Sussex na skrzydłach plotki). Inni przyjmowali, że panna pochodzi z hiszpańskiej rodziny królewskiej – z jej wyglądem i obejściem – bo inaczej Isaiah Redmond nigdy nie przystałby na ten związek. Jako że Isaiah Redmond trwał wyprostowany, ze skupionym spojrzeniem, z wyrazem miernego zainteresowania na twarzy; żaden mięsień mu nie drgnął, nie uniósł brwi, a co dopiero wyraził protest.

Jak również nie spojrzał ani razu na Jonathana czy Tommy. Ani się do nich nie odezwał. Podobnie jak matrona Fanchette Redmond, choć miało się wrażenie, że jej szyja drży z wysiłku, żeby się nie odwrócić. Ale jako matce trudno jej było zwalczyć instynkt patrzenia na własne dzieci.

Parafianie nie bardzo wiedzieli, na co zwrócić wzrok.

Jonathan znosił milczenie ojca i ciekawskie spojrzenia z mieszaniną zimnej krwi – nieprzeniknioność jako formę sztuki Isaiah Redmond doprowadził do perfekcji i nigdy nie było wiadomo, co takiego trzyma w rękawie – i spokojnej pewności siebie, ponieważ miłość dawała mu otoczkę niezwyciężoności, której troski o przyszłość nie mogły przeniknąć. Tommy przyjmowała ciekawe spojrzenia jak królowa, a jeśli podczas czytania zapowiedzi ukradkiem ściskała dłoń Jonathana, tak jak kiedyś medal ojca, Jonathan spoglądał na ich splecione palce przejęty

zachwytem, zaszczycony i wdzięczny, że najdzielniejsza osoba, jaką znał, zwracała się właśnie do niego, kiedy potrzebowała odwagi. Po to się urodził: żeby zapewnić jej bezpieczeństwo. Zrobi wszystko, każdego dnia swojego życia, żeby zasłużyć na jej zaufanie.

Przez trzy tygodnie Jonathan i Tommy mieszkali z Milesem Redmondem i jego żoną Cynthią w posiadłości w Sussex, którą wynajął Miles, ale Jonathan dzielił czas między Londynem, Lancaster i Sussex.

W trakcie czwartego tygodnia parafianka, która akurat obudziła się wyjątkowo wcześnie pewnej soboty – mianowicie pani Sneath – była świadkiem, jak Jonathan i Tommy wychodzą z kościoła w bladozłotym świetle poranka; towarzyszyli im pan Miles Redmond i jego żona, Cynthia, hrabia Ardmay i jego żona, dawniej panna Violet Redmond oraz niebiańsko przystojny lord Argosy.

Ale jak odnotowano, a później omawiano wielokrotnie, nie pan Isaiah Redmond.

Ani Fanchette Redmond.

To dostarczyło tematu do rozmów w mieście na kolejny tydzień. Kiedy rozeszło się, że Jonathan wziął ślub, wielu rozczarowało się gorzko, że pozbawiono ich widowiska – ponieważ nikogo ani słowem nie uprzedzono z góry – jednak żal złagodziła wieść, że młody, cieszący się powszechną sympatią pan Redmond nigdy nie wyglądał tak urzekająco i nie wydawał się tak szczęśliwy, a jego narzeczona, o pogańskim czy nie pogańskim nazwisku, jaśniała jak słońce i była piękna jak anioł; a pani Sneath opowiedziała o tym tak przejmująco na cotygodniowym spotkaniu Towarzystwa Pomocy Ubogim w Sussex, że żadna chusteczka nie pozostała sucha i wiele haftów uległo zawilgoceniu.

Dzisiaj w kościele podniecenie nie osłabło.

Szyje parafian drżały z wysiłku, żeby nie obracać się jak kurki na wietrze od Redmonda do Redmonda, do Redmonda. Ponieważ nowo narodzone dziecko Violet Redmond miało zostać ochrzczone po tym, jak wielebny Sylvaine skończy pierwsze czytanie z Pisma Świętego, a zamiast tradycyjnych dwóch matek chrzestnych i jednego ojca chrzestnego, wydawało się, że maleństwo będzie miało jedną matkę chrzestną – panią Cynthię Redmond – oraz dwóch ojców chrzestnych, pana Milesa Redmonda oraz niemal nieznośnie przystojnego, jasnowłosego i ach, jakże niebezpiecznego z wyglądu dżentelmena o nazwisku Lavay, pierwszego mata na statku hrabiego. Ponieważ Violet Redmond nie mogła, rzecz jasna, powstrzymać się od tego, żeby nie włożyć kija w mrowisko, nawet po tym, jak bezpiecznie wyszła za mąż.

Jonathan nie był nieczuły na pokusę, żeby odwrócić głowę i rozejrzeć się po kongregacji, ale zdołał zrobić to ukradkiem, zerkając ostrożnie tu i tam. Zauważył

Olivię Eversea siedzącą pomiędzy dwoma braćmi. Musiała to wyczuć, bo jej oczy pobiegły ku niemu; przez krótką chwilę patrzyli sobie w oczy. Olivia, która podobnie jak Tommy, walczyła o słuszne sprawy. Olivia, która podobno złamała serce Lyona i sprawiła, że ruszył na wygnanie. Jonathanowi przyszła zdradziecka myśl do głowy: czy Lyon na nią zasługiwał? Co kierowało Olivią? Czy tęskniła za jego bratem tak jak on?

Odwrócił wzrok, kiedy maleńka, opatulona w koronki Ruby otworzyła buzię i zawyła, wywołując współczujące cmokanie i śmiech ze strony kongregacji. Nagle rozbrzmiał mu w głowie śmiech Cyganki: dziesięcioro dzieci, dziesięcioro dzieci, dziesięcioro dzieci…

Widocznie napiął się trochę, bo Tommy ścisnęła go za rękę, a kącik jej ust drgnął od tłumionego uśmiechu. Przez ostatnich kilka tygodni Jonathan spędzał czas między Pennyroyal Green, Lancaster i Londynem. Z pomocą Tommy, pana Romulusa Beana, a nawet Argosy'ego, którego wzięto z poboru, ale który okazał się zaskakująco użyteczny, kiedy dano mu coś do roboty, poczynili znaczne postępy w wynajdowaniu kochających rodzin i świetnych praktyk dla niemal wszystkich najmłodszych dzieci; na ich miejsce zatrudniono dorosłych; zwiększając koszty, rzecz jasna, ale Jonathan był przekonany, że dochody wzrosną. Przedstawił również Tommy Violet. Violet najpierw przyglądała się Tommy ze zdumieniem, potem pełną oszołomienia radością, ponieważ nagłe zaręczyny Jonathana były całkowicie nieoczekiwane i cudownie kontrowersyjne. Potem opanowała się, przyjmując wyniosłe chłodne milczenie i spojrzenie, które mówiły: udowodnij, że jesteś dość dobra dla mojego brata.

Tak więc przez pewien czas Tommy i Violet przyglądały się sobie jak dwie nieufne kotki. Póki:

– Zawsze chciałam mieć siostrę – stwierdziła w końcu Tommy zgodnie z prawdą, choć ostrożnie, ponieważ trzeba być odrobinę szalonym, żeby pragnąć za siostrę kogoś takiego jak Violet. A Violet, którą macierzyństwo uczyniło łagodniejszą i wielkoduszną i która wciąż miała skłonności do tego, żeby popłakiwać z powodów sentymentalnych (to ją doprowadzało do wściekłości, bo była żarliwie wierna, ale wcale nie sentymentalna), chwyciła Tommy w ramiona. Jonathan wątpił, żeby przyjaźń pomiędzy dwiema równie… odmiennymi… osobowościami była zawsze taka łatwa i przyjemna, ale początek dobrze rokował.

Ojciec i matka jednakże nie odzywali się do niego od tygodni. Odkąd ojciec odwrócił kartę z podobizną Thomasiny de Ballesteros.

Jonathan, ściśle mówiąc, nie unikał ich. I nie wydawało się w najmniejszym stopniu, żeby oni go unikali. Ale nikt nie przerywał milczenia. Wiedział, że Violet i

hrabia zostali zaproszeni na śniadanie do rodziców po chrzcie. Dość znacząco podobnego zaproszenia nie otrzymali Jonathan i Tommy ani też Miles i jego żona Cynthia. Ponieważ Cynthia także nie była mile widziana w domu Redmondów.

Mała Ruby Alexandra, w sposób przewidywalny i zrozumiały, ryknęła ze zdumienia i wściekłości, kiedy zanurzono ją w chrzcielnicy. Jonathan nie mógł się doczekać, kiedy opowie siostrzenicy o czasach, kiedy to jej matka groziła skokiem do studni po kłótni z konkurentem do ręki.

I właśnie wtedy zerknął na ojca i matkę – odruchowo i zobaczył, jak matka chwyta rękę ojca, tak jak Tommy sięgała po jego. Jonathan zaczynał rozumieć, ile małżonkowie potrafią sobie przekazać w kompletnej ciszy.

Nie był tylko pewien, co takiego przekazują sobie teraz rodzice.

Msza się skończyła i wszyscy wstali, żeby wyjść z kościoła.

Akurat w chwili, kiedy niebo otworzyło się i spadł deszcz.

Z niezwykłą szybkością droga do miasteczka zamieniła się w błotnistą zupę, popychając parafian w ciepłe, serdeczne ramiona Pod Świnią i Ostem po drugiej stronie drogi, żeby tam przeczekać ulewę.

Zostawiając przed kościołem gromadkę zaskoczonych, milczących Redmondów. Jonathan i Tommy oraz Miles i Cynthia przyszli spacerem do kościoła o chłodnym poranku, natomiast rodzice Jonathana, Violet i hrabia, przyjechali powozem Redmondów.

Przez chwilę trwała cisza napięta jak skóra bębna.

A potem ojciec odwrócił się do Jonathana i przemówił, jakby rozmawiali ledwie wczoraj.

– Może wsadzimy damy do powozu, żeby je odwieźć do domu? Nasza czwórka z pewnością przeżyje spacer w deszczu, jeśli się nie uspokoi.

Damy. Mając na myśli Cynthię, Violet, Tommy i matkę.

Jonathanowi na chwilę odjęło mowę. Podobnie jak Milesowi, który uniósł jedynie brew.

Damy, o których mowa, wydawały się zbiorowo wstrzymać oddech.

– Czemu nie? – odezwał się gładko hrabia Ardmay.

Tak więc kwartet milczących, wstrząśniętych, o szeroko otwartych oczach dam i jedno niemowlę został bezpiecznie umieszczony w powozie, który następnie odjechał.

Zostawiając kwartet milczących mężczyzn.

– Możemy teraz wrócić – zastanawiał się głośno Jonathan. – Albo… możemy pograć w rzutki w Pod Świnią i Ostem i przeczekać deszcz.

Ojciec odwrócił się do niego. Twarz miał nieodgadnioną. A potem kącik jego ust

drgnął.

– A zatem rzutki – powiedział.

– Ja wygram – oznajmił po chwili Jonathan, nie mogąc się powstrzymać.

Chwila wahania.

– Być może – stwierdził swobodnie ojciec. – A może nie.

Z uśmiechem – słabym, ale prawdziwym.

Dla Jonathana to była doskonała odpowiedź.

Wszyscy razem ruszyli do Pod Świnią i Ostem.

– Paczka dla pana, sir.

Książę Greyfolk spojrzał na lokaja, który stał niepewnie w drzwiach, i wezwał go gestem dłoni, zasiadając w swoim ulubionym fotelu w bibliotece, gdzie kiedyś, o północy, przyglądali mu się Thomasina i Jonathan.

Przyjął małą, owiniętą w papier paczuszkę i przeciął sznurek nożem do otwierania listów.

Najpierw zobaczył złożoną kartkę. Rozłożył ją i przeczytał:

To mi dawało odwagę, kiedy jej potrzebowałam. Mam nadzieję, że przypomni ci, jaki potrafisz być dzielny.

Rozsunął warstwy papieru i znieruchomiał, kiedy błysnęła czerwień.

I ostrożnie podniósł do góry medal.